

HARMONIA SPOŁECZNA.

I.

Walka płci.

Dążenie do harmonii społecznej, jest prawdopodobnie tak stare, jak współżycie ludzi, a wyrażało się zawsze — walką. Różnorodność instynktów w człowieku, z jednej strony, a z drugiej owo przekleństwo pracy w pocie czoła na chleb, rzucone jako hamulec na bieg myśli ludzkiej, aby zuchwałą ciekawością nie zapragnęła wydrzeć tajemnicy życia i śmierci — strzeżonej zazdrośnie przez bogów — złożyły się na to, że zaraz z początku — siła wyrażała się podporządkowaniem sobie słabości i zaprzągnięciem jej w niewolę — ucisk zaś hartował słabość i przeciwdziałając oporem, stwarzał walkę, jako dążenie do sharmonizowania słabości i siły. Walka ta przejawiała się wrzeniem we wszystkich dziedzinach życia indywidualnego i społecznego — a wywołany przez nią ruch, wyładowywał swoją energię w trzech głównych kierunkach. W dziedzinie walki miłosnej o zachowanie gatunku — począwszy od Adama zrzucającego w dosyć mało bohaterski sposób, odpowiedzialność za pragnienie wiadomości złego i dobrego — na swoją towarzyszkę — aż do dzisiejszego lowelasa, strącającego w przepaść nędzy i hańby wspólniczkę tajemnej rozpusty — toczy się walka płci — poza którą zawsze spostrzegać się daje tęsknota i dążenie do stworzenia harmonii między mężczyzną a kobietą. W dziedzinie walki o byt począwszy od Kaina który zmęczony uganianiem po jałowych i bezpłodnych puszczach za zwie-

rzyną, zamordował Abla żyjącego dostatnio z płodów żyznej ziemi, aż do dzisiejszego proletaryusza, umierającego z nędzy na barłogu, z przekleństwem na ustach — jako ofiara zawodu, który wyssał z niego wszystką krew, nie dawszy wzamian nawet tyle ile zdobywa zwierzę żyjące dziko na pustyni — wybucha w coraz nowej formie walka klas, normowana wciąż nowemi ustawami i prawidłami, mającemi na celu doprowadzenie do harmonii współżycia ludzi. W dziedzinie walki o zdobycze dla ducha człowieka — począwszy od zakazanych owoców — po przez stosy i klątwy — aż do indeksu i cenzury (nie licząc c. k. prokuratoryi) wre walka idei — jako cel ostateczny stawiająca sobie wyrozumienie harmonii wszechrzeczy — w rozpaczliwych dysonansach, jakie ducha tego do buntu, do walki, do stwarzania wciąż nowych wartości podżegają.

Walka płci — jako zmaganie się dwóch różnych sil, trwała tak dawno jak niewola kobiety — najdawniejsza ze wszystkich niewoli — a więc pewnie od chwili kiedy walka o byt — wskutek jakichkolwiek trudności w zaspokojeniu potrzeb życia — wystąpiła na plan pierwszy — usuwając na plan drugi troskę o zachowanie gatunku. Było to już bardzo dawno, tak dawno — że nawet historyczne źródła, nie dotarły do głębin w których kryje się początek tej walki. Jako hasło — podnoszona była — ku wielkiej uciesze współczesnego i późniejszego audytoryum, zaledwie kilkakrotnie w szeregu tysiącleci — aż jako wielki ruch, ogarnęła wrzeniem ludzkość, dopiero niewiele dawniej, jak od stu lat i to w imię wyzwolenia kobiety z pod ucisku mężczyzny — w imię interesów jednej płci, sprzecznych jakoby z interesami płci drugiej. Czy tak jest w istocie zdania różniły się jak różnią się dotąd, zarówno w stawianiu żądań i programów, jak i w ocenianiu zjawisk, kształtujących współżycie mężczyzny i kobiety. Mimo ucisku i zależności kobiety od mężczyzny — mimo pokrzywdzenia jej i pozostawienia zupełnie poza prawem, podczas ewolucyi życia społecznego, zdążającej do ideału zrównania pod względem prawnym wszystkich ludzi — coraz jawniejszem się być zdaje twierdzenie, że podporządkowanie kobiety mężczyźnie, nie jest zależnem od jej płci, ale od jej siły. Słabi byli zawsze ciemiężeni przez mocnych — a więc i kobieta była wyzyskiwaną jako taka. — O ile

jednak mężczyźni dzierżący siłę — mającą kurs w danej epoce — byli bez żadnego miłosierdzia dla mężczyzn pozbawionych tej siły — o tyle często — możnaby powiedzieć zawsze gdyby nie liczne wyjątki, mieli względność dla kobiet — właśnie przez wzgląd na ich płeć. Nigdy od najdzikszych epok aż po dziś dzień nie mordowali mężczyźni całemi gromadami kobiet, jak mordowali i mordują słabszych mężczyzn. Nigdy nie poddawał się pod władzę mężczyzny drugi mężczyzna ze względu na jego płeć — jak to czynił zawsze w stosunku do kobiety, począwszy od Salomona i Antoniusza aż do Leopolda belgijskiego — i innych niewolników kurtyzan — panujących jedynie i wyłącznie nad mężczyzną siłą swojej płci.

Pomimo pozorów — nasuwających mniemanie, że przyczyną zależności kobiety jest jej płeć — ponieważ zawsze i wszędzie kobieta była przez mężczyznę uciskaną i wyzyskiwaną — można już przyjąć dziś jako pewnik — że słabość jej, a nie płeć, była przyczyną tego ucisku i tych nadużyć. Stwierdza to mniemanie fakt — że gdziekolwiek i na jakiemkolwiek stanowisku kobieta wzmoże się w siłę jakąkolwiek — fizyczną czy duchową, zależnie od bieżącego kursu, zwycięża ona — a co najmniej staje na równi z mężczyzną — nawet jeżeli nie dosięgła jeszcze w zupełności jego sił — dzięki swojej płci. Kobieta, która wyzbyła się tak zwanych przesądów obyczajowych opanowuje całe grupy mężczyzn, wszelkich zasad, przekonań i temperamentów — czyniąc sobie z nich niewolników służących jej ciałem, duszą, majątkiem a często godnością i czcią swoją. Kobieta która zdobyła się na siłę niezależności ekonomicznej wyzwoliła się zupełnie z pod przemocy mężczyzny zarówno fizycznej jak moralnej. Mogą ją krępować jeszcze pewne ustawy i ograniczenia — bądące przeżytkami dawnych na przywileju silnych opartych praw — tak jak krępują słabsze pod względem klasowym czy rasowym grupy mężczyzn — ale co do osoby swojej, co do wolności swojej wewnętrznej będzie ona zupełnie swobodna i niezależna, chyba, że sama zechce ulegać. Kobieta która otworzyła oczy duszy swojej na zjawiska życia i nauczyła się patrzeć, sądzić i rozstrzygać, sama nie podda się przemocy choćby nawet umiłowanego mężczyzny — bo zdobyła swoją

wolność, która żadnej niewoli i w żadnej formie, gwałt jej czyniącej, ujarzmić się nie da.

Oczywiście to wszystko nie może obejść się bez walki — ale walka jest zmaganiem i wytwarzaniem się sił — które słabszego wzmacnia i hartuje — a w silniejszym budzi szacunek dla rosnącej mocy, która zmierzyć się z nim ma odwagę.

Walka płci istnieje i coraz ostrzej na razie się objawia — ale niema ona źródła swojego w różnicy płci, jak wielu błędnie mniema, lecz w różnicy sił — które zdążają do harmonii przez walkę. Im walka ta zarysowuje się ostrzej, im energiczniej słabość — a więc tutaj walcząca kobieta, występuje w tej walce — czyli zaznacza wzrastającą swą siłę, tem rychlej można spodziewać się wyniku walki — harmonii — która w tym wypadku będzie — Miłością.

Marya Turzyma.

IV. MIĘDZYNARODOWY KONGRES KOBIECY W BERLINIE.

Zjazd międzynarodowy delegatek związków kobiecych nie jest nowością; czwarty to już raz kobiety różnych krajów i narodowości obradują wspólnie nad kwestyami ruchu kobiecego, spoglądają wstecz na już dokonaną pracę i wytykają nowe punkty na przyszłość, uczą się wreszcie jedne od drugich i wyrażają uczucia solidarności międzynarodowej kobiet, pracujących na obu półkulach ziemskich. Od roku 1388, gdy w Waszyngtonie zawiązał się „Międzynarodowy Związek Kobiet“ (International Council of Women), wykonywano ściśle postanowienie tego Związku, urządzania co pięć lat międzynarodowych zjazdów kobiecych w różnych stolicach. W 1893 roku odbył się zjazd w Chicago, w 1899 — o rok spóźniony z różnych powodów — obradowano w Londynie, a tego roku od 12 do 18 czerwca w Berlinie. Urządzenie pierwszego międzynarodowego kongresu kobiet było dziełem „Międzynarodowego Związku“, dlatego też przy sposobności chcę parę słów o jego zadaniach powiedzieć. Celem jego jest:

1. Wytwarzać uczucie solidarności i porozumienia się pracujących kobiet w różnych krajach;

2. Stworzyć instytucyę centralną, któraby co pięć lat urządzała międzynarodowe zjazdy kobiet różnych narodowości w celu wymiany myśli;

3. Dać możność kobietom pracującym różnych krajów naradzania się od czasu do czasu wspólnie co do wspólnych celów.

Tegoroczny kongres w Berlinie, który się odbył pod przewodnictwem pani Stritt, będącej zarazem tego roku przewodniczącą „Niemieckiego Związku kobiet“ miał przebieg bardzo ciekawy i poruszył ogólną opinię, nastroiwszy ją na ton sympatyczny. Posiedzenia kongresu poprzedziły kilkudniowe konferencye stowarzyszeń, mających na celu zdobycie praw wyborczych dla kobiet; stowarzyszenia te obradujące pod przewodnictwem zasłużonej bojowniczki o prawa wyborcze w Ameryce, pani Antony, sędziwej już kobiety, połączyły się również w „Międzynarodowy Kobiecy Związek praw politycznych“.

Referaty, odczytane na kongresie podzielono wedle czterech sekcyi, których posiedzenia odbywały się jednocześnie, lecz w czterech osobnych salach. Wieczorami zaś odbywały się ogólne zebrania agitacyjne, na których wygłaszano mowy i referaty z historyi ruchu kobiecego i jego obecnego stanu w różnych krajach. Na tych zebraniach było obecnych dużo mężczyzn.

Owe cztery sekcye były: 1. Sekcya wykształcenia kobiet, która odbywała posiedzenia pod przewodnictwem p. Heleny Lange i w której wysłuchano i przedyskutowano następujące referaty: p. Aberdeen (Anglia): „Kobieta jako społeczna wychowawczyni“; p. Gerhard (Berlin): „Wykształcenie kobiet i macierzyństwo“; p. Franklin (Anglia): „Związek rodziców dla oświaty ludu“; p. Goldschmiedt (Lipsk): „Przygotowanie kobiety do macierzyńskich obowiązków w świetle nauki Fröbla; wreszcie p. Dröscher (Berlin): „O społecznych zadaniach ludowych ogródków dziecięcych“. Przytaczam wszystkie tematy, ponieważ widać z nich, jak ciekawe i ogólnego znaczenia kwestye zostały omówione na kongresie i jak doniosłe znaczenie mają tego rodzaju wymiany poglądów na te sprawy.

Druga sekcya zajęła się zawodową pracą kobiet. Ciekawe referaty o kobiecie w rolnictwie wygłosiły pp. Willson i Warwik, obie Angielki. P. Warwik jest założycielką szkoły rolniczej dla kobiet, o której wspominałem w kronice przeszłego roku. Pani Deutsch (z Berlina) poruszyła palącą sprawę służących, malując fatalne stosunki jakie tu panują, szczególnie zaś w Berlinie, chociaż istnieje tam poważna organizacya służących. O położeniu służących w Austryi referowały p. Niebauer i p. Gerber (Wiedeń).

W sekcyi trzeciej zajęto się pod przewodnictwem pani Edinger (z Frankfurtu n. M.) sprawą społecznej i filantropijnej działalności kobiet. Na ten temat wygłoszono mnóstwo referatów przez kobiety różnych krajów: p. Montelins (Szwecya), p. Tempson (Kanada), p. Heries (Węgry),

p. Strung (Austrya) itd. W czwartej wreszcie sekcyi zajęto się sprawami małżeństwa i rozwodów.

W przedostatni dzień kongresu na zaproszenie prezydyum zebrało się w salach Filharmonii, w którzych odbywał się kongres duże grono młodych dziewcząt w celu wysłuchania odczytów o celach i zadaniach ruchu kobiecego. Był to bardzo rozumny krok ze strony prezydyum kongresu: im wcześniej młodzież zaznajomi się z istotą ruchu kobiecego, tem więcej oszczędzi sobie żmudnej pracy dochodzenia do wniosków przez ciężkie nieraz osobiste próby i przejścia.

Do osobliwości tegorocznego kongresu należała przemowa p. Church-Teryll, Murzynki z Waszyngtonu, która obszernie mówiła o położeniu kobiet swej rasy i o budzącej się wśród nich świadomości. Przytoczę dosłownie początek jej przemowy: „Wojnie 1861 r. pomiędzy południowemi i północnemi Stanami zawdzięczam fakt, że dziś tu jestem, a nie pracuję jako niewolnica na którejś z plantacyi. Jestem jedyną kobietą na tym kongresie, przedstawiającą rasę, która od niespełna 40 lat cieszy się względną wolnością. A oto reprezentuję już 10.000 członkiń (a u nas? *przyp. Red.*) liczący związek kobiet murzyńskich (!), który może się już pochwalić całym szeregiem prac na różnych polach społecznej i filantropijnej działalności“.

Drugą osobliwością, która zaciekawiła Berlin podczas kobiecego kongresu było nabożeństwo, odprawione w jednym z kościołów przez pastorkę z Ameryki p. Shaw.

Tą krótką notatką objąłem zaledwie małą część prac kongresu: całość była bardzo obszerną, referaty o najżywotniejszych kwestyach ruchu kobiecego sypały się jeden za drugim.

Na zakończenie mogę tylko wyrazić życzenie, byśmy doszli jaknajprędzej do tego, by w Krakowie lub Warszawie naznaczono taki kongres! Kiedy to nastąpi? Tyle jeszcze do zwalczenia przeszkód, przesądów! A co najważniejsze, to, że kongresy przecież mają się odbywać w stolicach!

S. K.

PRACA KOBIET POD ANGIELSKIEM PRAWEM FABRYCZNEM.

Przez **B. Z. Hutchins**. Autorkę pracy zbiorowej pod tytułem „Historya prawodawstwa fabrycznego“.

Londyn, 1903.

WSTĘP.

Ku końcowi XVIII, a szczególniej zaś w pierwszej połowie XIX stulecia, Anglia stała się widownią niezrównanego rozwoju przemysłu fabry-

cznego dzięki temu, że wprowadziła maszyny i nowy system rękodzielniczy w chwili, gdy odosobnione jej położenie i polityczne zawikłania na stałym lądzie, dały jej możność zmonopolizowania nowej formy wytwórczości.

Rozwój przemysłu, będący sam przez się źródłem dobrobytu, wykazał jednak smutne następstwa, dzięki zgubnym wpływom, jakie wywarł na część klasy pracującej, przez nieograniczone współzawodnictwo i przez brak istotnej tamy na chciwość i bezwzględność fabrykantów.

W dziełach Carlyle, Disraelego (późniejszego lorda Beaconsfield'a) i Karola Kingsleya daje się spostrzegać głęboka obawa przed złem, które przeczuwali ci wielcy politycy i filantropi, nie olśnieni tak dalece wzrostem materyalnego dobrobytu, aby nie widzieć zła i niebezpieczeństw z nim związanych.

Nowy mechanizm, poruszany siłą wody lub pary, zwiększał zdolność wytwórczą pracowników, których w wielkiej ilości dostarczała obecnie najnędzniejsza część ludności, niezdolna do łączenia się w celu domagania się należytych warunków pracy.

Dla zużytkowania zwiększonej siły wytwórczej kapitału, zatrzymywano przy pracy kobiety, dorastającą młodzież, a nawet dzieci od 5 do 6 lat niemiłosiernie długo, a czasem przez dzień i noc całą. Warunki zdrowotne bywały często jak najgorsze, gdyż skupienie się ludności i wzrost takowej w fabrycznych centrach były nierównie szybsze, niż rozwój miejscowych sanitarnych organizacyi rządowych i te ostatnie nie były w stanie walczyć z istniejącemi złemi warunkami.

Błędnem jest uważać dążenie ku zmianie warunków fabrycznych, za ruch filantropijny jedynie, chociaż błąd ten z łatwością się tłómaczy tem, iż łączą się z nim ściśle imiona Tomasza Oastler, Michała Sudler, lorda Ashley (późniejszego lorda Shaftenburg) i innych, którzy, bez wątpienia, przyłączyli się doń z pobudek filantropijnych i przez sympatyę ku ludzkim cierpieniom jedynie. Badania nad początkami agitacyi wśród klasy robotniczej wykazują, iż siłę swą zawdzięcza ona temu, że była wstanie zbliżyć i połączyć energie i sympatye ludzi różnych klas, różnych dążeń i poglądów. Gorączki i inne choroby porywające moc osób w dzielnicach fabrycznych, szczególniej zaś dzieci, przejęły zgrozą rząd i wyższe klasy, te ostatnie częścią z obawy przed zarażeniem się, a częścią z przyznania za fakt, że niebaczne korzystanie z pracy dzieci i nadużycie takowej stanowi rzeczywiste narodowe niebezpieczeństwo. Pracująca klasa ze swej strony zaczęła agitować o zmniejszenie godzin pracy kobiet i dzieci, czyniąc to nie tylko ze względu na owych słabszych członków społeczeństwa, lecz i dlatego, że przez to mieli pracownicy męscy nadzieję zapewnienia i sobie odpowiedniego skrócenia dnia roboczego. Pewne poparcie znale-

ziono i u członków parlamentu, broniących własności gruntowej, gdyż ci, pobici przez fabrykantów w kwestyi reform agrarnych (Reform Bill) i w kwestyi zniesienia ustaw zbożowych, radzi byli wspierać sprawy tego rodzaju jak ustawa 10-godzinowej pracy z roku 1844, aby dokuczyć swym przeciwnikom. Klasa przemysłowców również nie okazała się jednomyślną w kwestyi sprzeciwiania się przepisom fabrycznym. Począwszy od Sir Roberta Peel'a starszego i Roberta Owen'a zawsze się znajdowały na szczęście, wśród kapitalistów, jednostki bardziej wspaniałomyślne i bardziej inteligentne, przyznające, iż praca dzieci, zbyt długi dzień roboczy i niehygieniczne warunki dążą z biegiem czasu, do wyczerpania sił, zmniejszenia zdolności robotnika do pracy i są nie tylko nieludzkimi, lecz i ekonomicznie niepraktycznymi.

Reformy fabryczne musiały toczyć ciężką walkę, mianowicie w pierwszej połowie XIX wieku, nie tylko z uprzedzeniami większości przemysłowców, lecz i z najbardziej wówczas rozpowszechnionymi przekonaniami politycznymi, które, będąc przeważnie indywidualistyczne, sprzeciwiały się mieszaniu się państwa do handlu i przemysłu.

Niewiadomo dobrą czy złą stroną angielskiego prawodawstwa społecznego, jak się to często dawało zauważyć, jest to, że rzadko bywało ono wynikiem jednolitej polityki prawodawczej, lecz powstało przeważnie z szeregu środków, mających zapobiegać różnym zauważonym nadużyciom.

Ci, którzy początkowo z zasady sprzeciwiali się przepisom fabrycznym, zostali w wielu razach pozyskani gdy doświadczenie dowiodło na praktyce, że nowe uchwały dają dobre rezultaty, tak np. gdy się przekonano iż robota przy krótszym dniu roboczym jest lepszą, niż przy dawnym systemie długogodzinnej, nieuregulowanej pracy. Warto zaznaczyć, iż właściwie i liberalizm i indywidualizm nie są wcale w sprzeczności z usprawiedliwionem wglądaniem państwa w warunki rozwoju przemysłu. Niepodobna twierdzić że dzieci, a nawet większość kobiet są, mówiąc językiem przemysłowym, „wolnymi faktorami" i są wstanie układać się o warunki z chlebodawcami. Państwowe ograniczenie godzin pracy i żądanie warunków koniecznych dla zdrowia i obyczajności dążą w rzeczywistości nie do ograniczenia, lecz do zwiększenia swobody robotników, którzy by się stali w innym razie niewolnikami handlowej konkurencyi.

Nie mamy tu dosyć miejsca aby opisać szczegółowo prawo fabryczne angielskie, lecz możemy w krótkich słowach wspomnieć o głównych częściach onego. Ustawa z roku 1833 ogranicza dzień roboczy dzień młodszych nad lat 11 do 9 godzin; młodzieży nie mającej lat 18 do 12 godzin. Prawu temu podlegają fabryki tkackie (bawełniane, wełniane, jedwabne, lniane itp.) i stanowi ono pierwszy ważny krok ku naznaczeniu inspektorów fabrycznych, zostających pod kontrolą sekretarza stanu i obowiąza-

nych dozorować wypełnienia ustaw. W roku 1842 zabroniono kobietom pracować w podziemnych kopalniach, a w 1844 r. rozciągnięto ustawę fabryczną i na nie, przyczem ich dzień roboczy, na równi z dniem roboczym młodzieży, został ograniczony do 12 godzin. W roku 1847 została wprowadzoną ustawa 10-godzinnej pracy, skracająca dzień roboczy kobiet i dzieci z 12 do 10 godzin. W 1864 i 67 r. została uregulowaną praca kobiet i dzieci w innych fabrykach i warsztatach.

W roku 1878 znajdowało się w prawie fabrycznym tyle sprostowań i dodatkowych ustaw, o których tu nie wspominaliśmy, iż stało się ono nadzwyczaj zawikłanem i wymagało koniecznie konsolidacyi. Przejrzane prawo zatrzymało dawne ustawy i wprowadziło określenie fabryki jako „budynków z przyległościami w których są wytwarzane, zmieniane, reperowane, lub przystosowane do sprzedarzy różne przedmioty, handlu przy udziale pracy ręcznej, wykonywanej dla zysku z a p o m o c ą s i ł m e c h a n i c z n y c h z n a j d u j ą c y c h się w b u d y n k a c h.“

Obecnie istniejące prawa opierają się przeważnie na ustawach z roku 1878, z głównych inowacyi wymienić możemy jedynie: 1. Zwracanie baczniejszej uwagi na warunki zdrowotne i bezpieczeństwo robotników; 2. Dążenie ku zapobieżeniu przepracowania się i zapewnienie staranniejszego wykonywania przepisów w warsztatach; 3) Urządzenie pralni.

Niebezpieczne zajęcia.

Dzieciom i młodzieży zabrania się pod karą pracować w fabrykach bieli ołowianej, przyjmować udział w pewnych procesach wyrobów glinianych i najmować się do kilku innych gałęzi przemysłu.

Kobiety są zagrożone karą za pracę we fabrykach przy odkładach bieli ołowianej (white beds of white lend), przy mieszaninach surowego ołowiu używanych w garncarstwie i przy odlewaniu miedzi.

Sekretarz państwa ma prawo wydawać specyalne przepisy dla zajęć, które, podług niego, grożą utratą członków, zdrowia lub życia.

Wszelkie przepisy nosiły dotąd charakter zapobiegawczy, tyczyły się czystości i dążyły do wyrugowania kurzu i trujących wyziewów zapomocą środków mechanicznych. Wymagały one zapasu szczególnych przedmiotów jak to: ubrań, kołpaków, respiratorów dla ochrony robotników podczas roboty, oraz mleka i innych napojów używanych jako antydoty przeciwko truciznom, z którymi robotnicy mają do czynienia. Tego rodzaju rozporządzenia opierają się przeważnie na praktyce bardziej humanitarnych chlebodawców i w większych, lepiej urządzonych fabrykach stanowią nieznaczny dodatek do kosztów produkcyi. W małych przedsiębiorstwach są one bez wątpienia uważane za pewnego rodzaju ucisk, lecz należy zrozumieć, że wymagania środków zapobiegawczych dla zapewnienia zdrowia i bezpieczeństwa pracownikom są wydawane dlatego, aby po-

średnio pobudzić właścicieli do przyjęcia ulepszonych sposobów i maszyn. Popieranie wielkich przedsiębiorstw może wywołać trudności dla jednostek, lecz z drugiej strony leży w interesie ogółu, aby odpowiedzialny zarząd znajdował się w ręku najlepszych i najzdolniejszych chlebodawców. Przykład pod tym względem dają nam fabryki zapałek, dla których wydano rozmaite specyalne przepisy, aby zapobiedz dobrze znanemu niebezpieczeństwu zatrucia się fosforem. Drobni przemysłowcy znaleźli przepisy te zbyt uciążliwymi i wielu z nich zaniechało wyrabiać zapałki. Duże zaś fabryki wprowadziły wówczas maszyny automatyczne, które usunęły styczność robotników z fosforem i środki przeciwko zatruciu się okazały się zbyteczne.

We wszystaich fabrykach niebezpieczne maszyny muszą być ogrodzone lub osłonione i kobietom, dzieciom i młodzieży nie wolno czyścić takowych gdy są w ruchu.

Warsztaty.

Komitet panów, rozpatrując w r. 1899–90 wyzyskujący system pracy, ujawnił wiele faktów tyczących się złych warunków w większości przedsiębiorstw prowadzonych w małych warsztatach i mieszkaniach prywatnych. Mianowicie sprawa warsztatów krawieckich zatrwożyła publiczność, gdyż jasnem było, że w tym wypadku, chodzi nie tylko o dobro pracujących, lecz i tych, którzy mieli tę pracę nosić. Dowiedziono wielokrotnie, iż większość ubrań była robioną w izbach, w których szyje, posila się, spi, będąc zdrowym i chorym robotnik nieraz z całą rodziną i że ubrania takie muszą się stać z konieczności w większości wypadków roznosicielami brudu i zarazy. Krąży opowiadanie, prawdziwe lub nie, że ubranie przeznaczone na ślub członków rodziny królewskiej znaleziono użyte jako przykrycie dla dzieci chorych na szkarlatynę.

Wielka ilość małych warsztatów znajdująca się przy podrzędnych ulicach nie dozwala inspektorom fabrycznym mieć ze wszystkimi styczność. W r. 1891 próbowano zapobiedz złu zwiększając prawa miejscowych władz sanitarnych do kontrolowania zdrowotnych warunków w warsztatach. Aby módz kontrolować warunki pracy dokonywanej po domach poruczono właścicielom niektórych gałęzi przemysłu, prowadzić listę nazwisk i adresów robotników pracujących u siebie i przesyłać takową do miejscowego zarządu, aby takowy mógł przeszkodzić wykonywaniu roboty w domu, w którym znajdują się chorzy na zakaźne choroby.

Jeżeli warunki sanitarne w warsztacie lub pracowni okażą się niedostateczne, lub groźne dla zdrowia pracowników, zarząd miejscowy wymaga od chlebodawcy aby zaniechał dawania roboty do takowej, jeżeli zaś przedsiębiorca nie przestaje zatrudniać robotników w tak niezdrowym lokalu, podlega karze w wysokości L 10.

Oddział medyczny komisyi sanitarnej obowiązany jest obecnie dawać roczne sprawozdania radzie miejscowego zarządu czy i o ile prawo fabryczne jest stosowane w warsztatach i pracowniach. Kopię takiego raportu otrzymuje sekretarz stanu.

Przy obecnym systemie inspekcyi, dokonywanej połączonemi siłami departamentu fabrycznego i miejscowych powag, rezultaty zależą w znacznej części od dobrej woli i działania tych ostatnich, mianowicie co się tyczy warunków zdrowotnych.

W dużych miastach, w których chociaż pewna część mieszkańców posiada poczucie społeczne (sens of public spirit) i zrozumienie obowiązków obywatelskich, dużo zrobiono dobrego. W Liverpoolu, Manchesterze, Nottinghamie, Leeds np. tak jak i w niektórych częściach Londynu, naznaczono specyalnych inspektorów warsztatowych i dołożono wszelkich starań aby ubezpieczyć zdrowie i przeszkodzić szerzeniu się zarazy, otrzymano też jak najlepsze skutki. W innych zaś miastach, mianowicie w mniejszych, jak też i w wiejskich okręgach prawo fabryczne jest lekceważone.

Uwaga tycząca się szczegółów.

W celu umożliwienia robotnikom zapewnienia sobie płacy, żądać której on lub ona mają prawo, właściciel fabryki lub warsztatu obowiązany jest do dania na piśmie szczegółów tyczących się wynagrodzenia i pracy, którą każdy robotnik ma wykonywać. Ustawa ta znaną jest jako „artykuł o szczegółach“ (Particularo clause) i wydaną została w r. 1891, następnie zaś została zmienioną i rozszerzoną. Stosuje się ona do wszystkich fabryk ubrania, wyrobów łańcuchowych, stalek i innych i może być rozciągniętą na każde inne przedsiębiorstwo za rozporządzeniem sekretarza stanu.

Pralnie.

Od 1895 r. pralnie zaczęły podlegać ustawie prawa fabrycznego w stosunku do bezpieczeństwa i warunków sanitarnych. Praca w takowych była regulowaną inną ustawą, która dozwalała kobietom pracować do 14 godzin dziennie z warunkiem jedynie, aby ogólna ilość godzin pracy w tygodniu nie przekraczała 60.

Kobiety.

Położenie kobiet pod opieką angielskiego prawa fabrycznego można w krótkości przedstawić jak następuje: Kobietom nie wolno pracować w nocy. Nie wolno przyjmować kobiet do pracy w mniej niż 4 tygodnie po urodzeniu się dziecka. Bezwarunkowo zabrania się kobietom pracować w pewnych wyszczególnionych niebezpiecznych przedsiębiorstwach. Praca tygodniowa ogranicza się do $55^1/_2$ godzin w zakładach tkackich i do 60

w innych fabrykach, warsztatach i pralniach. Nadgodzinowa praca w większości fabryk nie jest dozwoloną, lecz w niektórych (nie tkackich) jak również w warsztatach i pralniach bywa dopuszczaną przy pewnych warunkach, które się zmieniają dla każdego przedsiębiorstwa. Warunki pracy w stosunku do wentelacyi, ilości powietrza, czystości i temperatury są przepisane przez prawo. Osobne, czyste, sanitarnie urządzone wygódki są wymagane dla kobiet, a od roku 1893 istnieją kobiety inspektorki, do których robotnice mogą się zwracać osobiście lub na piśmie w sprawach, przykrych do podnoszenia przy mężczyźnie.

Część świata filantropijnego podejrzliwie patrzy na te przepisy, sądząc, że ponieważ ograniczenie godzin pracy tyczy się kobiet jedynie, mogą one wpłynąć, chociaż nie bezpośrednio, na zmniejszenie popytu na pracę takowych i na zamianę onej przez mężczyzn. W kwestyi tej należy przyjąć pod uwagę, że różnica w wynagrodzeniu pracy męskiej i kobiecej stale pobudza fabrykantów do zatrudniania kobiet przy wszelkiej pracy, do której się nadają ich siły i zdolności, oraz że kobiety mniej są zdolne do łączenia się w celu żądania dla siebie krótszego dnia roboczego i lepszych warunków pracy. Przepisy prawa fabrycznego, stawiając warunki dla pracy kobiet i dzieci, w pewnym stopniu przeciwdziałają dążeniu konkurencyi do obniżenia produkcyi przez zamianę silniejszych i lepiej płatnych robotników na tańszych a słabszych. Z innej strony w dobrze urządzonych współczesnych fabrykach, czystych, przestronnych, odpowiadających wymaganiom sanitarnym, dobrze wentelowanych, zapobiegających przystosowaniu się i drobnemu podziałowi pracy, pojawiła się masa łatwych zajęć, przy których akuratność i zręczność są głównemi kwalifikacyami i przy których dziewczęta i kobiety dzierżą monopol ponieważ grubsze i cięższe palce mężczyzn nie nadają się do tego rodzaju zajęć.

Sprawozdanie angielskich stowarzyszeń.

Komitet angielskich stowarzyszeń (Sekcya F. Statystyka i Ekonomia), przedsięwziął ostatniemi czasy staranne i szczegółowe poszukiwania w dziedzinie pracy kobiet regulowanej prawem fabrycznym, aby zadecydować, czy rzeczywiście praca kobiet jest gorszą niż praca mężczyzn. Rezultaty owych poszukiwań dokonanych ostatniemi czasy (Southport 1903) wykazują, że wykluczenie kobiet z pewnego rodzaju pracy i zamiana takowych na niezorganizowanych (unregulated) robotników, chociaż się spotyka, przykłady są tak rzadkie, iż trudno przyjmować je pod uwagę. Współzawodnictwo pomiędzy mężczyznami i kobietami w przemyśle jest znacznie mniejszem, niż by to się mogło zdawać, gdyż większa część pracy męskiej jest dla kobiet fizycznie niedostępną, a do pracy którą wykonywują kobiety, mężczyźni po większej części się nie nadają.

Maksimum godzin pracy dozwolonych przez prawo dla kobiet jest większe, niż ilość takowych przy zajęciach męskich uregulowanych za obopólną zgodą chlebodawców i związków pracy (Trade Union). Przy podziale więc pracy pomiędzy kobiety i mężczyzn, prawne ograniczenie godzin pracy pierwszych nie może wpływać ujemnie na ich stanowisko.

Zbadawszy rzecz dokładnie i bezinteresownie i zebrawszy dowody, komitet zadecydował, że chociaż w poszczególnych wypadkach mogą zachodzić pewne niedogodności, a nawet przykrości, noszą one przeważnie charakter tymczasowy i że pożytek, jaki przynoszą prawa fabryczne, jest ogromny w stosunku do niewygody lub krzywdy której mógł być przyczyną.

Zakończenie.

Nie pragnę wcale aby moi czytelnicy uważali położenie angielskich kobiet w przemyśle za zadowalniające. Uczyniono wielkie ulepszenia, lecz i wiele pozostaje wciąż do zrobienia. Dzień roboczy wciąż jeszcze jest zbyt długim mianowicie w fabrykach tkackich. W zakładach metalurgicznych praca trwa rzadko dłużej niż 9 godzin, jeżeli wykluczemy czas przeznaczony na posiłek. Prawdopodobnie należy to przypisać temu, że większą część pracowników w takowych stanowią mężczyźni, którzy dzięki łączności, zapewnili sobie 9-godzinny dzień roboczy. W niektórych, wyjątkowo dobrze urządzonych przedsiębiorstwach wprowadzono dzień 8-godzinny, lecz w zakładach tkackich praca trwa zwykle 10 prawnie dozwolonych godzin. Przyjmując pod uwagę, iż maszyny, które zostały rozpowszechnione z niezwykłą szybkością w XIX wieku, wymagają większej i nieustannej uwagi ze strony robotnika, nie można uważać za pożądane aby młode dziewczęta, lub zamężne kobiety mające drobne dzieci, pracowały od 6 rano do $5^1/_2$ popołudniu, mając jedynie 2 przerwy dla posiłku. Widocznem też jest, iż zakaz pracy kobietom przed upłynięciem 4 tygodni od urodzenia się dziecka, uważać należy jedynie za łagodny środek zapobiegawczy w interesie zdrowia matek, lecz jest on najzupełniej nie wystarczającym dla zapewnienia tego, co się powinno głównie przyjmować pod uwagę, a mianowicie zapewnienia właściwej opieki i pokarmu dla dziecka. Jest to jedna z najtrudniejszych spraw do rozstrzygnienia i prędkie lub nieostrożne działanie państwa może się nie tylko okazać zbytecznem, lecz nawet szkodliwem. Jednak statystyka śmiertelności małych dzieci w punktach przemysłowych dowodzi konieczności poważnego zajęcia się tą sprawą.

Dużo jest jeszcze do zrobienia jak w dziedzinie badań, tak też i dla rozwoju opinii publicznej zanim warunki pracy kobiet pozwolą takowym żyć i pracować tak, jak żyć i pracować winny matki obecnych i przyszłych obywateli.

Z PSYCHOLOGII I PEDAGOGII DZIECKA.

Z niezmiernie żywotnych i zajmujących badań, prowadzonych od lat dziesięciu, przy Uniwersytecie Clacka w Ameryce (Wolcester) na szerszą uwagę zasługuje praca Dr. G. St. Hall'a i pani Theod. L. Smith – jego asystentki, prof. uniw. – p. t.: „Działanie światła i ciemności“.

Z wielu względów należałoby życzyć, żeby praca ta, szersze znalazła zastosowanie, i skoro znajdzie pomieszczenie w któremś z pism specyalnych lub też w oddzielnej broszurce – gdyż jest już z upoważnienia autorów spolszczoną – powinna być odczytana przez wszystkie rozumne matki, wychowawczynie, nauczycielki i nauczycieli szkół niższych i średnich.

Chcąc zaznajomić szerszy ogół, choć w części z zajmującą tą pracą przytoczę tu parę zdań i danych, z niej zaczerpniętych.

Jaką doniosłość ma światło dzienne w rozwoju umysłowym i fizycznym dziecka – najlepiej ilustruje fakt, że 75⁰/₀ nauczycieli i nauczycielek, badających wpływ światła w szkole, respective w klasie – oświadcza stanowczo, że dzieci i młodzież – siedzący w miejscu ciemnem, do którego słońce nie dochodzi, stają się leniwi, opieszali, senni, psocą, broją, nie zwracają uwagi na wykład, ociągają się z odpowiedziami, są obumarli, wolniej myślą, wogóle posiadają wszelkie oznaki słabo, lub niedorozwiniętych.

Stoimy tu więc, być może, wobec rozwiązanej zagadki i tajemnicy niejednego niedostatecznego stopnia, niejednej uwagi „spisz na lekcyi“ lub faktu, że dziecko uczące się dobrze w domu, odpowiada źle i z roztargnieniem, w szkole.

Jeżeli światło i słońce, taki ma niezmiernie ważny wpływ, że się rozciąga aż na niedostatecznie oświetlone miejsca w klasie, o ile ważniejszem jest wybieranie słonecznych pokoi na sypialnie, dziecinne, szkolne i przeznaczone do pracy i zajęć dzieci pokoje.

Nauczyciele amerykańscy, łatwo przecinają kwestyę ciemnych miejsc w klasie, przytoczę dosłowną odpowiedź 22-letniej nauczycielki:

„Pamiętam, że siedząc w ciemnym kącie pokoju, uczyłam się znacznie gorzej. To samo uważam u moich uczniów i dlatego niedorozwiniętym i słabo rozwiniętym daję miejsca w lepszem świetłe. Uważam, że znacznie więcej i lepiej pracują w świetle.

Pouczającem jest też mniemanie, że dzień dziecka, powinien się kończyć o zmroku, a o ile możności zaczynać o świcie.

Sama natura, jako wspomnienie pra-człowieka żyjącego bez kultury i nowożytnych urządzeń postępu – domaga się tego – a że jest inaczej, że pogwałcamy naturą, nasza w tem wina.

Niemowlęta, dzieci małe – najczęściej budzą się rano, razem ze śpiewakami niebieskiemi — gwoli własnej wygodzie, zwalczamy ten zwyczaj.

Gdy zmierzch zapada — mówi G. St. Hall dzieci robią się senne. Książki i zabawki wypadają z ich rąk. Stają się ociężałe, tulą się do starszych, lub po kątach — zasnęłyby zaraz. Wówczas wkracza postęp pod postacią lampy — reakcya jest ogromna.

Budzą się senne dzieci, ruchy ich, głosy, przyspieszone tętno zabawy, wszystko to trwające godzinę, czasem mniej – mówi aż nadto jasno o nerwowem podnieceniu, wywołanem sztucznem oświetleniem. Za chwilę podniecenie to mija, następuje większa jeszcze, niż o zmroku, znużenie, nerwy przestają uczuwać naprężenie, ciało staje się mdłe – i takiemu dziecku dajemy książkę w rękę i każemy się uczyć do późna!

79% badanych dzieci doznawała podniecającego wpływu światła sztucznego – podniecającego, a zatem niezdrowego. W wieku nerwów, nerwowych dzieci i chorób, należy strzedz się o ile możności, takich wrażeń, a tembardziej strzedz te małe, bezbronne istotki, powierzone kobiecej pieczy – a które stanowić mogą bądź ujemny, bądź dodatni materyał, w przyszłem społeczeństwie.

Nam wszystkim, którym dobro dzieci naszych, a zatem przyszłość narodu, leży na sercu — uwagi te do serca trafić powinny.

Anna Grudzińska.

SZKOŁY ZAMIEJSKIE.

Z rokiem każdym wzrasta ogólne niezadowolenie z całego systemu wychowania i wykształcenia u nas. Ma to uczucie u nas największy bodaj z całej Europy zasób przyczyn, rodzących je nawet wśród warstw zupełnie nieobeznanych z pedagogiką, bo u nas stan szkolnictwa tak jest opłakany jak mało gdzie chyba: złe uposażenie nauczycieli, fatalne nieraz warunki chygieniczne w szkołach, bezsensowny plan i dobór przedmiotów, zaniedbanie fizycznego wychowania — wszystko to składa się na całość, która musi być zreformowaną pod groźbą uwiądu sił młodych już na ławie szkolnej.

Dużo już zrobiono w wielu krajach dla uzdrowotnienia szkół, szczególniej zaś w wielkich miastach zdarza się spotkać wzorowo urządzony gmach szkolny, zdolnych i oddanych swemu zawodowi pedagogów i pewne zrównoważenie wychowania umysłu z wychowaniem ciała przez wprowadzenie gier, gimnastyki i wycieczek. Ale wszystkie te usiłowania są po części paraliżowane w swych skutkach przez sam fakt, że szkoła znajduje się w mieście, wśród kurzu, dymu i innych złych warunków, których usunąć niepodobna.

Dlatego też na szczególną uwagę zasługują szkoły, urządzane według wymagań pedagogiki na wsi, wśród pól i lasów, gdzie uczniowie mogą obcować bezpośrednio z naturą, używać ruchu i gier na łąkach zakładowych i czerpać zasoby sił fizycznych wraz z wiedzą. Jedyny jest to, według mnie, sposób zaprowadzenia idealnej równowagi umysłu i ciała. Nie mogę tu obszernie opisywać tego rodzaju szkół i historyi ich powstania (ciekawych odsyłam do artykułu mego w Nr 45 „Prawdy" 1903 r. „Szkoły za miastem"), bo chcę tylko zaznaczyć, że uczyniono już pierwszą próbę założenia takiej szkoły dla dziewcząt, a one bezwarunkowo więcej potrzebują tego rodzaju zakładów, jak chłopcy, którzy do pewnego stopnia zawsze potrafią sobie łatwiej sami wynagrodzić zaniedbanie fizycznego wykształcenia przez gry w piłkę, wycieczki, bójki nawet.

Pierwszy zakład naukowy, prowadzony na wsi, założył dr. Reddin w Anglii w 1889 r. w majątku Abbotsholme; za jego przykładem poszła Francya z inicyatywy p. Demolins, który założył szkołę w Roches. Wreszcie w 1898 r. dr Lietz założył w Niemczech, w Pulvermülle koło Ilsenburga podobny zakład, który ogromnym cieszył się i nadal się cieszy powodzeniem. Już w 1901 r. mógł dr. Lietz rozszerzyć swą działalność przez otworzenie w Saksonii we wsi Hanbinda wyższych klas szkoły poprzedniej, a w 1902 r. dwaj profesorowie ze szkoły Lietza, Frei i Zuberbühler, otworzyli podobny zakład w Glarisbergu nad Badeńskim jeziorem.

Pierwszą próbę założenia szkoły na wsi dla dziewcząt zrobiła pani Petersenn w Lichterfeld pod Berlinem, przyjmując na początek tylko trzy uczennice do swej willi, położonej nad jeziorem i koło obszernej łąki.

Słabowite uczennice poprawiły się znakomicie, robiąc jednocześnie znaczne postępy w naukach. W następnym roku widzimy już 8 uczennic i zakład przeniesiony na wieś pod Potsdam.

Lekcye odbywają się o ile możności na świeżym powietrzu. Szczególniej wykłady z nauk przyrodniczych, urządzane na polu lub w lesie wydają doskonałe rezultaty: zamiast mnóstwa suchych faktów zaczerpniętych z podręczników, otrzymują uczennice szereg ciekawych pogadanek, demonstrowanych na miejscu na żywych przykładach roślin i zwierząt. Nauka języków odbywa się sposobem poglądowym i w krótkim czasie pozwala uczennicom rozmawiać swobodnie i czytać w obcych językach. Pani Petersenn wpadła na doskonały pomysł i zaraz w pierwszym roku wzięła do swego pensyonatu jakąś biedną sierotę, którą miały się uczennice zająć całkowicie. Okazało się, że jest to bardzo pedagogiczny sposób skierowania młodych uczuć na drogę poważnych obowiązków. Dziewczęta okazały tyle przejęcia się swemi obowiązkami

względem dziecka, p. Petersenn na drugi rok mogła wziąć drugą sierotę do siebie na wychowanie, spełniając w ten sposób podwójnie dobry czyn.

Dziś zakład p. Petersenn liczy już 20 uczennic i rozwija się nadal pomyślnie. Projektowanym jest zbudowanie drugiego domu i zaprowadzenie przy szkole ogródka dziecięcego, jako rozszerzenie pracy, podjętej przez dziewczęta nad wychowaniem owych dwu sierot. Obok nauk i wykształcenia fizycznego nie zapomina się i o gospodarstwie domowem, w którem p. Petersenn zapoznaje swe uczennice gruntownie.

Oczywiści jest to początek, próba zaledwie parę lat licząca, lecz bezwątpienia rozszerzy się ten nowy system wychowania w przyszłości i wyda zdrowe pokolenie. *Stanisław Krauz.*

Otrzymujemy następujące pismo, które zamieszczamy, solidaryzując się z poglądami autorki.

Szanowna Pani!

„Przed kilku tygodniami byłam na posiedzeniu kółka pań, zajmujących się losem służby domowej. Jedna z tych pań, osoba nader światła i postępowa wygłosiła odczyt w tej kwestyi, odczyt bardzo piękny i zajmujący. Zapewne będzie on wydrukowany w któremś z postępowych pism i niezawodnie zyska ogólne uznanie. Mojem zdaniem myśli zawarte w tym odczycie, przyczynią się nadzwyczajnie do obałamucenia opinii publicznej i dlatego uważam za swój obowiązek zaprotestować przeciwko szablonowemu traktowaniu tej tak ważnej kwestyi. „Nowe Słowo“ jest pilnie czytywane przez ogół inteligentnych i postępowych kobiet i, jeśli Szan. Pani zechce udzielić mi gościnności w łamach swego pisma, mam nadzieję, że protest mój, aczkolwiek nieudolny, przyczyni się do wyjaśnienia tej sprawy“.

LIST OTWARTY W KWESTYI SŁUŻĄCYCH.

Pani mowi bardzo pięknie, jasno i płynnie. Mój Boże! Żebym ja tak umiała. Ale tem gorzej dla Pani. Im piękniejszą harmonię tworzy ogół myśli Pani, tem przykrzejszym dysonansem wydają się poszczególne myśli, a może tylko zdania. Bardzo to przykry dysonans. Zapewniam Panią, że niektóre wrażliwsze słuchaczki wprost gęsiej skórki dostały w tem miejscu. Pani stoi na stanowisku bardzo postępowem, więcej niż postępowem. Pani zdaje się zwolenniczką tych teoryi, które ludzie dobrej woli, a mdłego ducha nazywają „przewrotowemi“. Przepraszam, jeśli to Pani ubliża.

Mówiła Pani, że dawny niewolnik z biegiem czasu przekształca się w poddanego, a następnie w dzisiejszego wolnego najmitę i, że ewolucya

ta idzie nieuniknienie w tym samym porządku, że porządek ten jest niezmienny i konieczny. Podkreślam słowo konieczny, bo znaczy to, że każdy inny typ pracownika prócz wolnego najmity, robotnika dzisiejszego, jest typem niższym i, że on nieuniknienie w rozwoju swym przemieni się w typ wyższy, wejdzie w fazę następną, stanie się typowym robotnikiem-proletaryuszem. Takim niższym typem jest nasza służba domowa. Typ ten przekształca się w typ wyższy dwojaką drogą:

1. Dzięki uspołecznianiu gospodarstwa domowego coraz więcej robót gospodarskich wykonywa się poza domem i coraz częściej służbę stałą zastępuje służba przychodnia.

2. Przez podnoszenie się umysłowego i etycznego poziomu służących.

Zostawiwszy na stronie pierwszą, ekonomiczną stronę kwestyi, zajmiemy się, idąc wiernie za myślą Pani, tą drugą stroną kwestyi, którą możnaby nazwać ideową. Niestety, „tu się droga załamała, tu się droga zawróciła“, i to właśnie smutne, że „zawróciła“. Z tego, co Pani powiedziała poprzednio wynika, że jednostka humanitarna i inteligentna, stając w obronie interesów tej upośledzonej grupy społecznej, powinna wszelkich starań dokładać, aby przyspieszyć jej naturalną ewolucyę, ułatwić dostanie się na ten wyższy szczebel, zbliżyć typ służącego do typu robotnika. Jakaż jest różnica między niemi pod względem umysłowym i etycznym. O ile sobie przypominam, Pani wspominała o tem, ale zbyt pobieżnie, a przecież to jest kwestya zasadnicza. Cała niższość, a stąd i cała niedola naszych białych niewolnic, płynie z ich braku poczucia solidarności klasowej. Powie Pani może, że to jest skutek ich położenia, nie przyczyna — owszem, zgadzam się z tem, że jest to fatalne błędne koło, z którego one same wyjścia jeszcze nie znajdują. Robotnik uświadomiony ma poczucie godności własnej, której deptać nie pozwoli, poczucie niezależności osobistej, poczucie swych praw i chęć do walki o te prawa. Robotnik czuje się cząstką większej całości, umie dla solidarności poświęcić względny dobrobyt, narazić się na nędzę, więzienie i wygnanie. Robotnik chce i umie stowarzyszać się i organizować i walczy z wyzyskiem dzielnie i świadomie. Przecież Pani uznaje istnienie walki klas i rozwiązanie kwestyi społecznych widzi Pani w rezultacie tej walki, a nie w łagodzeniu antagonizmów. Służąca będzie uzdolnioną do tej walki, gdy wyrobi w sobie te cechy wolnego człowieka, gdy uwolni się od bezpośredniej osobistej zależności od swej pani, gdy między panią a sługą będzie taki stosunek, jak między fabrykantem a robotnikiem, natomiast między służącemi wytworzy się koleżeństwo i solidarność. W jaki sposób z poprzednich przesłanek wyprowadza Pani wniosek, że stosunek między panią a służącą powinien stać się bliższy i serdeczniejszy, że pani powinna opiekować się służącą, czyli tamować jej samodzielny rozwój, do nieuniknionego

ekonomicznego ucisku dodawać cięższy jeszcze i szkodliwszy, choć może na razie przez nieuświadomioną dziewczynę nieodczuwany — ucisk moralny, ucisk opieki niepożądanej, opieki wyzyskującej nad wyzyskiwaną. Bo jeśli Pani świadomie głosiła owe niebezpieczne dotkryny, to stosunku pani do służącej nie nazwie Pani inaczej, bez względu na osobiste dobre chęci chlebodawczyni. Bardzo pięknie wyraziła się Pani, mówiąc „o tkwiących w nas przeżytkach feodalnych“ (cytuję słowa Pani z pamięci, daruje Pani, jeśli je przekręcam).

Otóż taki „przeżytek feodalny“, takie echo czasów patryarchalnych splatało i Pani bolesnego figla i naraziło ją na przykry konflikt z logiką. Gdyby nie to, zapewne Szan. Pani zrozumiałaby i innym wytłumaczyła, że jako jednostka inteligentna i uspołeczniona może Pani i powinna oświecać służące i wskazywać tę drogę postępu, którą Pani tak jasno widzi sama. Jako chlebodawczyni może Pani okazać swoją dobrą wolę tylko biernie, a mianowicie: zostawiając służącej jak największą swobodę, szanując jej godność ludzką, nie wkraczając nieproszenie i natarczywie do jej duszy ani z dobremi radami, ani ze współczuciem, ani z pochwałą, ani z naganą. Dusza służącej powinna być dla Pani równie nietykalną, jak jej pokój, jak list do niej adresowany, jak jej kuferek z rzeczami, jak te kilka godzin na tydzień, które jej Pani pozostawia.

Inna.

Z CYKLU «W NOC ZIMOWĄ« WŚRÓD ZASPY.

Jarmark był walny, tęgi... chłopstwa zebrało się mnóstwo.

Zmierzch się czynił na świecie, gdy zebrawszy ostatnie towary i paki z pełną torbą miedziaków, siadła na sanie, Chaja.

Jechała wesoło, rada. Targ był dzielny, sprzedała mnóstwo towarów, a wszystko po dobrej cenie — kilka szlachcianek, wykupiło resztę zleżałego barchanu, który zaciekł jeszcze zeszłego roku. Ale w kramiku ciemno było, więc wzięły.

We wsi znali go dobrze i nikt brać nie chciał.

Pieszczotliwie pogłaskała, załojoną torbę skórzaną i przymknąwszy oczy obliczać poczęła zyski.

Coraz weselej uśmiechała się pod grubą chustą, otulającą jej twarz i czoło!

Wydostali się za miasto, na szeroki trakt. Ściemniało się raptownie. Wtem zawył wicher, wschodni, zimny, szarpiący. Rzucił garść śniegu, w oczy woźnicy, zakręcił, zwrócił, objął tuman śniegowy i miótł nim cicho, niby łagodnie... niby ręka kobieca głaszcząca głowę dziecka.

Zrozumiał pobudkę chłop – obejrzał się wokoło, po niebie spojrzał, splunął, zaklął i smagać jął biczem, brobne konięta. I one zrozumiały... zastrzygły uszami, łby spuściły nisko i chyżo, coraz chyżej, biedz poczęły. Wpadli na boczną drożyną, wiodącą do wsi ich... trzeba było dwie mile tak jechać uboczem, a tu od rana ślad zawiało. Przeżegnał się chłop, czapkę nasunął, na konie krzyknął!

Wicher dął w same oczy, to zmęczony w bok się uchylał, przycichał, by znów wirować i coraz wyżej nieść śnieg, zimny, ostry. Na niebie, stłuczone, ciemne biegły chmury, niepewne zda się, przelękłe.

Sanie szły nierówno, coraz wolniej.

— Ny! Mużyk! poganiaj! Spiesz się! W domu czarkę dostaniesz. Stary Arol da, nie bój się! odezwał się głos z pod chusty.

Chłop mruknął jakieś przekleństwo, stanął na saniach, wzrok wytężył, konie do biegu zachęcał... darmo; wiatr dął coraz silniej, dech tamował w piersiach.

Wtem wpadli w śnieg; konięta po brzuchy się w ten puch zapadły, stanęły.

Podrapał się chłop po czapce, potem po łbie, zlazł z sani, do drogi przylgnął, popatrzył przed siebie, w bok.

– A szot' ty! zaklął – zbłądziliśmy...

– Co? zerwała się Chaja! Co....

Spojrzała raz pierwszy wokoło i strach ogromny ją ogarnął! Trzydzieści lat na jarmarki jeździła, trzydzieści lat w mrozie i deszczu, skwarze i burzy... a takiej zadymki nie widziała jeszcze!

– Co będzie? Spytała drżąc cała.

– A cóż? trza wracać!

– To wracajmy... prędko, prędko!

Nie szło jednak prędko, trzeba było konie wyprzęgać, wydobywać, sanie zawracać.

– Wrócimy – myślała Chaja – to i cóż? Znam gospodę gdzie się za dziesiątkę prześpię, zjem bułkę za 5 groszy, herbaty dadzą i darmo, cukier mam w papierku... Jeszcze... trza będzie dać na czarkę – złotówkę, nie, to za wiele... Fynef a zejn a... fy, nie wiele... aby dojechać!

Zrobiło się zupełnie ciemno, drogą zawiało – nic tylko całun biały, rozpostarł się przed nimi...

Chłop wstrzymał konie, zlazł i począł je wyprzęgać.

– Ny! Co ty robisz? spytała Chaja.

– Widzisz! brzmiała odpowiedź.

– Widzę, ale czemu?

– Czemu?... ano widzisz sama że dalej saniami nie można...

– Pojedziesz... a ja?... a ja?...

— A ty?... Nu! Chcesz to jedź ze mną, siadaj na konia... oby prędko... czasu niema, jeszcze nas biała śmierć zabierze... a ja mam żonkę... i dzieci mam...

Zerwała się Chaja.

— Aj mużyk! Nie mów tak! Ja na konia nie siędę... nie... ja stara, ja nie umiem... a tu towar zostanie sam... nie, ja nie mogę... ale ty nie odchodź! Ciebie Bóg pokarze! zobaczysz! A tak. Reb Arol nagrodzi i Moszko nagrodzi i ja... Chaja... dam ci rubla, no dziesięć złotych...

Ale chłop bez słowa, wskoczył na koń, gwizdnął, batem machnął... i znikł w tumanie.

Stała przez chwilę zdrętwiała.

Potem siadła bez słowa, bez ducha... Przypomniał jej się towar, poczęła zdrętwiałemi rękoma nagarniać go w koło siebie... tak przesiedzi do rana. Trafi się przecie chłop jaki, co ją do wsi dowiezie... do domu!

Nasunęła chustę, przymknęła oczy.

W czystej izbie dawnej karczmy, siedzą teraz przy lampie, dzieci jej... Obok, pod piecem teściowa i reb Arol, taki biały! Już i Moszko sklep zamknął i wrócił do domu, szykują wieczorny posiłek.

— Coś Chai — nie widać! mruczy stara.

— Bóg niech ją zdrowo do nas przywiedzie... odpowie reb Arol.

Dzieci kładą się spać... Josek i Jankiel na jednem posłaniu, Ruchla i Ester na drugiem. Ryfka szyje coś i śpiewa, dziadek ją strofuje... to pieśni serca... to dumka. Co po niej żydówce, ona w swojej wierze musi żyć... jej nic po pieśniach gojów!

Ach ta Ryfka! to dla niej te miedziaki i srebro i złoto... jej trzeba iść zamąż... jej w mieście mówili, że jest jakieś inne szczęście niż dzieci rodzić, w sklepie siedzieć, marznąć i głodem mrzeć... Jej mówili, że i kobieta może się tak modlić jak mąż — i żyć inaczej i czytać i uczyć się... To źle, to bardzo źle!

Tak mówiła Sara... i odeszła i przepadła... i nie umrze w swojej wierze... A kiedyś, gdy staną przed tronem Jehowy, cóż odpowie, gdy się jej zapyta: „A gdzież dzieci twoje? Gdzie twoje syny i córki któreś zrodziła?“ Nie... to nie jej pytać będą... Bóg spyta Moszka... a on co odpowie? Gdzie jego dzieci... jego i Chai?

Przed oczyma stoją jej synowie... wnuki... córki i ten mały Chaim, taki tłusty, czerwony, a taki mądry!

Śpi w wielkiem łóżku matki, głęboko zakopany w miękkie bety. Gdy wróci, wśliźnie się cichutko i położy na wygrzanej pościeli.... Nie ucałuje go, nie... ona taka zimna!... ale popatrzy na tą kędzierzawą główkę, na te czerwone policzki...

Zrana przytuli się do niej, zarzuci swe tłuste rączyny na jej szyję i powie: „Mame! tak długo ciebie nie było! A Chaim tęsknił!

– Oj dzieci moje!... wyrwało się z jej znękanej piersi Oj dzieci. moje! Ja robiłam co mogłam, składałam, pracowałam, od ust sobie odejmowałam... czy i wy tak robić będziecie...?

Ryfka?... Ach biedna! Ona skazana na takie życie biedne, głodne, ciężkie, jej czarne oczy z łez nie obeschną... nie!

Nawet modlić się za matką nie będzie, ani teraz, ani potem... syny! ach oni modlą się i Moszko i reb Arol... a ona?...

Cóż znaczą jej modły?... Nic.

Cóż znaczy jej życie?... Nic...

„Z powiewem wichru, jak liść rzucony“...

„Jak trawa skoszona, a liści woń wiatr powieje, usycha“...

„Jak kwiat przydrożny, ścięty dłonią przechodnia...“

Tak czyta w dzień sobotni reb Arol. Czyta swoim pięknym melodyjnym głosem.. a ona stojąc w alkowie słucha tego i wie... że to jej życie takie... i Sary i Ryfki... ich życie...

Śmierć ?...

Chaim śpi tak cicho, przytuli się do niego i zasną, zasną aż do rana.

Cicho spływa śnieg na białą ziemię, cicho pokrywa sanie i towar i pudła i śpiącą kobietę.

Wznosi się wyżej, fantastyczna góra białą, na tle mogił i kurhanów i szerokiego stepu.

Gdy ją wreszcie, po dwu dniach odkopano, trzymała mocno skórzany trzos miedziaków... a na ustach jej pobladłych, zastygła w dwu słowach cała treść jej życia: „Dla dzieci“. *Anna Grudzińska.*

KARTKA Z DZIEJÓW CZAROWNIC W XVIII STULECIU.

Zabobon i okrucieństwo – dochodzące, niekiedy aż do żądzy krwi, wypełniającej moralne dzieje wieków ubiegłych. Procesy czarownic prowadzone w całej Europie od wieków średnich niemal aż do ostatnich lat dziesiątków *) smutnem są tego świadectwem. Polska nie przedstawia w tym kierunku wyjątku, jakkolwiek obwiniać jej nie można o większy niż gdzieindziej fanatyzm. Polska Piastów nie znała procesów o czary, wieki XV i XVI dzięki wolnomyślnym prądom bronią się jeszcze od tej

*) W Kantonie Glarus w Szwajcaryi ścięto w 1795 r. ostatnią czarownicę a w Meksyku jeszcze w r. 1860 i 1873 spalono na stosie dwie ofiary.

smutnej zarazy. Dopiero reakcya w wieku XVII i XVIII przynosi znaczną liczbę procesów o czary, jakkolwiek Polska nie widziała nigdy procesów masowych, ani inkwizycyi.

Dzieje tych procesow są bardzo różne. W niektorych obwinione opowiadają o dyabłach, którzy je nękali, określając np. po prostu: „mój był szlachcic“ albo „mój był chłop“. Niekiedy mówią o wycieczkach na Łysą Gorę na łopacie i tym podobnych karkołomnych przedsięwzięciach. Zdaje się przecież, że tam, gdzie nie wiedziano, co stanowić powinno istotę czarów i gdzie nie były ustalone pojęcia jakich dowodów trzeba do osądzenia czarownicy, po miasteczkach, posiadających własną jurysdykcyę, procesy podobne bywały mniej romantyczne. Naprowadzają mnie na to dwa procesy o czary ogłoszone w aktach sądu kryminalnego kresu Muszyńskiego*) oraz dzieje procesów, które poniżej podaję, zachowując formy protokułów sądowych.

I.

Przeglądając księgi sporne ławnicze miasteczka Uścia Solnego pod Bochnią, napotkałam z 1760 r. ciekawy materyał, dotyczący dwóch kobiet posądzonych o czary. Sprawa opisana przez zeznania szeregu świadków, oraz samych obwinionych rozpoczęła się jak widać wskutek sądu nad czarownicą w Wawrzeńczecach. Przynosi o tem wiadomość jeden z wybitniejszych mieszczan Ignacy Sierosławski i zaraz odzywa się sługa magistracki, że w Uściu należałoby „Studzynę zasadzić“. Sierosławski obejrzał się przerażony, czy nikt nie słyszy, bo bał się zarówno złości jak i czarostw Studzyny. Nie omylił się też bo Studzyna zaraz nadbiegła z wrzaskiem.

Snać nie pomogła przecież energiczna obrona, bo Studzynę i drugą jeszcze posądzoną o czary niewiastę z Uścia Kosturkowę zasadzają do więzienia.

Ażeby dowieść winy obu zaczynają się „relacye“ mieszczan i mieszczanek. Oto szereg zarzutów: Na obie żalą się, że odbierają mleko krowom **), albo psują je nadając mu przykry zapach. Studzyna posądzona jest, że orzekła rańtuch dziewczynie Markowej, który zginął, dała dziewczynie ziele cudowne, zdaje się lubczyk, które ona zjadła. Tłómaczy się teraz, że przez strach i nieświadomość.

Maryanna Pawlikówna zeznaje, że sądzono ją za nieślubny stosunek z Antonim Rzepką „z którym była podupadła“. Studzyna namawia, ażeby

*) Starodawne prawa polskiego pomniki t. IX. § 257 i n., oraz 389 i n.

**) Przeciw temu radzą, aby rozpalić podkowę końską i na mokrej powąsce położyć i mleko przez nie cedzić – co też naprawiło mleko. – Wymiona krowom parszywieją, kopią przy udoju.

wszystkim skrobała paznokcie i dała jej ziółka ażeby zmieszawszy jedno z drugiem w wodzie dała Rzepce wypić, to się w mig ożeni. Matka młodego Radonia oskarża Studzynę wprost o śmierć syna. Zagadkowa bowiem choroba nastąpiła zaraz po zwadzie, w której uderzył córkę Studzyny, służącą u p. Choynackiego, a Studzyna leczyć jej nie chciała twierdząc, iż nie potrafi.

Wzbudzało również podejrzenie, iż Studzyna chełpiła się, iż takiego Pana Jezusa ma, że co chce, to u niego uprosi. By ją do więzienia wsadzili zaraz znalazł się kot i jak kula przebiegł, to znów widziano czarnego ptaka z czerwonym dzióbem i skrzydłami.

Z więzienia też krewka niewiasta wołała, iż „powiadają ludzie, że dyabli są głupi, a ja chodzę nieraz po krzakach wołam na nich żeby mnie porwali, a żadnego się nie mogę dowołać, bo ja już dawno dyabłu duszę oddała, ale żeby mnie tu z tego więzienia teraz wyrwali tobym wszystkim, co na mnie instygują, pyski bym wnet powykręcała“. To znów dawała żonom lekarstwa, aby mężów od pijaństwa oduczały. W rodzinie Studzyny panowały też najgorsze stosunki, bo starsza zamężna córka stara się, aby młodsza wraz z matką zginęła, jakoby jej w czarostwach pomagała.

Dwa razy poddawano Studzynę dobrowolnej próbie (torturom) i tu przyznała ona szereg drobnych faktów, jak dawanie ziółek kobiecie, aby ją chłop kochał (cynamonu i imbieru), dawanie kredy czy alabastru i niewinne rady, które na tle zabobonów i ciemnoty urastają do wielkich rozmiarów (nawet niema śladów histeryi). Ponieważ dobrowolna dwukrotna próba do wyznania czarów nie wystarcza, więc „Agnieszkę Studzynę Miejskiem Dekretem zdaje się w ręce Poprawnego Mistrza na konfessaty do jeneralnego wyznania“.

II.

Wyznanie jeneralne.

Ja Agnieszka Zielonkowa alias Studzyna zeznaję życie swoje. Najprzód spłodził mnie N. N. Janowski a matka Chwalibogówna. Ojca małom znała bo go mieszczanie Zakliczanie zabili w podróży z Gdańska.

Chowano mnie w Porybce, bom się tam na Dołach urodziła. Lat mając najmniej dziesięć pobrałam była po kilka razy pieniędzy ojcom i klejnociki, co też wkrótce spostrzeżono. Zwracam się tedy do rybaka i daję mu pieniądze, co miałam w gorseciku zasznurowane, a on za to zawiózł mnie do Zakliczyna, gdzie bawiłam rok albo i więcej. Tam zaopiekowała się mną ciotka i oddała do swej córki, gdzie byłam kilka lat. Za mąż mi się też trafiało, ale mnie nie chcieli wydać. Potem przyszłam do Bochni i byłam u p. Sikorskiej dwa roki. Tam też nabrnęłam w swy-

wolę i nie mogąc się zostać zaszłam do Dołuszyc. Tam we dworze służyła ciotka moja Nartowska, ta sprezentowała mnie licznemu gronu panien miejscowych. Że byłam zręczna i urodziwa podobałam się im, wzięli mnie do dworu, gdzie zostawajam dwa roki. Wreszcie wydali mnie zamąż za Wojciecha Badka, brata gospodarskiego. Własnej zagrody nie miał, trzymoliśmy więc oborę przez kilka lat, aż w Dołuszycach nastali inni panowie, a i nam się przyszło zabierać, a dziatek już było troje. Pomógł nam JMC X. Proboszcz Stadnicki, u którego przez lat sześć mąż był za gospodarza, ja za gospodynię. Ztamtąd jako byłam gospodarna i umiejętna wzięli mnie do Im. P. Jareckiego do wsi Pleśni i byłam w gospodarstwie rok jeden. Mąż mi tam umarł, a nie bywszy półrocza wdową dałam się ludziom ożenić z teraźniejszym mężem moim Stanisławem Zielonką, poddanym ze wsi Janowic. Gdy go chcieli w poddaństwo brać do Janowic, chroniłam męża tem, że namówiła nas do siebie p. Rumerowa i zabrała przysławszy trzy wozy. Tu jednak we wsi Ratnej byliśmy tylko pół roku, nabiału było mało i z obory wyżyć się nie dało. Powróciliśmy tedy nazad do Pleśni do Imci P. Głońskiego, ja była na barku w browarze z dziatkami, a mąż mój tylko do ludzi dojrzeć. Tam w tej Pleśni folwark zgorzał, a Pan był we dworze i szkatułkę wyniósł z pieniędzmi i zawołał na mnie. „Gospodyni weź tam tę szkatułkę i zanieś na wóz do woźnicy“. W tem dno i szpanga była zła i ja wzięłam z jedną szufladką pieniądze. A złotem było czyli pięć czyli sześć tysięcy — ile, nikt nie wiedział. I wzięła mnie pokusa dla moich biednych dziatek zatrzymać coś z tych pieniędzy, resztę pobrali trzej bracia Knapiki, którzy całą kradzież na mnie zwalili i przysięgali, że i to zapalenie ognia moja sprawka. Źle było koło nas. Czułam to i uszłam z dziećmi do wsi pod Wojniczem. W nocy i mąż mój za mną przyszedł i oboje poszliśmy do Jadownik do matki. U matki dawałam na wódkę i piwo, matka spostrzegła tedy co się święci i wysłała nas dalej do Grobli. Człowiek słaby, nie wytrzymaliśmy i „rozszerzaliśmy się“ trochę pieniądzmi i pijatyką. To zwróciło uwagę, a właśnie nas ciż Knapikowie, co to razem brali pieniądze szukali, dowiedziawszy się o nas, dali znać do Pleśni do Imci P. Głuskiego.

Przyjechawszy z ludźmi do Lisostowic przysłali po nas. Mąż mój poznał chłopa i skrył się, a ja poszłam do dworu. Ze dworu posłał ze mną Imci P. Głuski ludzi dwóch do Grobli wzięli pieniądze i mnie do wsi Pleśni. Tych pieniędzy położyłam na oknie u krewnego mego Tomasza Boszka, u którego mieszkaliśmy czer. złr. 10 te się zostały u niego i więcej, a my też rozterali więcej jak złr. 30. W tym jak mnie zawlekli do Pleśni jak mnie różnie wypróbowali. Dopiero instancye za mną godne były: Szlachta, Panny, Księża, i wolną mnie puścili, dawszy mi chleba i przyszłam potem do męża do Grobli zaraz nas Boszek wyprawił ku

Pronowicom i byliśmy tam przez żniwa. Stamtąd powróciliśmy się do Młynarki nad Wisłę, pod Uście, od Młynarki do Uścia i strawili lat półjedenasta w Uściu. Następuje egzekucya, której bliższego opisu księgi Ujskie nie podają.

III.

Stanisław Zielonka, mąż Studzyny, człowiek jak widać słabego charakteru, który korzystał zawsze z występków żony, choć czynnego nie brał w nich udziału, składa również zeznanie, ale już po jej straceniu. Twierdzi przedewszystkiem, że nie wie, gdzie się żona rodziła, i że nie znał jej pierwszego męża. Był „młodzianem“ kiedy się z wdową Agnieszką ożenił, bo go na to namówili ludzie. Snać jednak Agnieszka urodziwa była, skoro pomimo dzieci, po tak krótkiem wdowieństwie zamąż poszła. Potwierdza całe opowiadanie żony o pożarze i kradzieży, ale boży się, że on tego nie uczynił, a ujrzawszy, że strach oddał czerwony złoty który był przy nim i powiedział: „Niech się ona sprawia za to, bo ja nic nie wiem“ i nie wie co z żoną jego się w Pleśni działo, jak się z nią obeszli bo sam „uszedł i błąkał się kilka dni pomiędzy ludźmi odszedłszy dzieci“. Żona jednak wróciła do dzieci, a wtedy i on się odnalazł i wyprowadzili się z Grobli w Zawiśle i błąkali się przez czas jakiś aż przybłąkali się do młyna. Potem służbę miejską objął. „Zaś o gusłach i czarostwie nie ręczę bo nie wiem czyli szkodzącego czyli nie; i to zeznaje, że znosiła potroszki to mąki, to chleba, że ją ludzie przepraszali, że do jednej śmiertelnie chorej kobiety iść nie chciała. Słyszał również, że jego córka Franuśka, robiła myszy, ale nie śmiał tego dochodzić dla hałasów i kłótni z żoną „która mie miała prawie pod mocą swoją“. Dochodziło snać w tem stadle do scen strasznych, bo córka mówiła mu płacząc, że mamusia na was nóż wyostrzyła, gdy podpiwszy sobie Zielonka leżał w sieni. Chcąc się utrzymać na stanowisku sługi miejskiego, kończy zeznanie swoje skruchą, „iż wiele słów złości swojej, podczas egzekucyi żony mojej mówiłem przeciw Świetnemu Urzędowi, czego żałuję“.

IV.

Sprawa Zielonkowej załatwia się nadzwyczaj prędko. Pierwsza relacya jest z 11 czerwca 1760, dekret finalny (podany niżej) z 21 czerwca tegoż roku. Wystarcza zatem 10 dni, ażeby kobietę, z którą bądź co bądź przestawało całe miasteczko jak z równą, skazać na śmierć.

Protokuł z 21 czerwca 1760 r. brzmi:

„W sprawie Instygatora od sław. Pospólstwa wydanego p. Mateusza Karcza, aktora stawającego do sądu miejskiego Ujskiego JKMci i Inferującego sprawę przeciwko Agnieszce Zielonkowej alias Studzyny o złe

Akcye poczynione przez różne gusła i czarostwa, którą tenże aktor i Instygator podaje do Sprawiedliwości sądu razem z Inkwizycyami poprzysiężonemi (7 relacyi), które wyznała przed tymże sądem. Defensor stanąwszy od tejże Agnieszki p. Marcin Misiorowski broni się wszelkiemi exkuzami, do których akcyi jednych się zna, a do drugich się nie zna, ale jednak na Świętą Sprawiedliwość dekretu zdaje się, i też s.me punkta, które jej czytano. Sąd wyrozumiawszy z różnych a różnych i wiele wypróbowanych świadków, które utwierdzone przysięgą w rożnych akcyach przeciwko Bogu a Przykazaniu jego, obrawszy ją do dwa razy na dobrowolną próbę co dobrowolnie nie chcąc się przyznać. Więc też Agnieszkę Studzynę Miejską Dekretem zdaje w Ręce Poprawnego Mistrza na konfessaty do Jednoralnego wyznania."

V.

Łaskawsze były losy na drugą oskarżoną – Apolonię Kosturkową. I na nią sypią się skargi, że odbiera mleko krowom, że mleko śmierdzi skoro kogo urzeknie. Aż 4 świadkow świadczy, że stracili przez nią krowy. Jedna (Regina Rafałka) zeznaje, że musiała krowę sprzedać, bo jakkolwiek po cielęciu, wszystko mleko zgubiła. Potem Kosturkowa zachorowała, Rafałka chodziła koło niej, stosunki się poprawiły, tak że Kosturkowa radzi otrzymane za krowę pieniądze oświęcić. Rafałka (tego nie zrobiła i nowa za pieniądze kupiona krowa „skapiała". Skarży się i gospodyni ks. Smolikowskiego, że zbyt śmiało Kosturkowa wchodzi na plebanią, a gdy jej o to zaczyna wymyślać, krowy tracą mleko. Wawrzyniec Czajka, który Kosturkową do prawa pozwał zostaje przez nią przeklęty, że mu się szczęścić nie będzie – Cieluszek mu zdycha, a wieprzka zabija krowa.

Kosturkowa dostaje się do więzienia, ale mężowi i przyjaciołom udaje się ją oswobodzić. A mianowicie pod datą 28 lipca 1760 r. znajduje się w księdze ławniczej oświadczenie następujące:

„My niżej podpisani w Aktach Miejskich Ujskich JKMci dajemy zacnie Sław. Magistratowi Ujskiemu na siebie taką assekuracyę. Iż siedzi za pewny występek w więzieniu Apolonia Kosturkowa to jest nie za co inszego tylko za p o d e j r z e n i e i guślenie czarostwa. Więc my uprosiwszy zacnie Sław. Magistratu, ażeby mogli puścić z więzienia też Kosturkową cośmy otrzymali, ale jednak z tą kondycyą, iż do Prawa ad D e c i s i o n e n D e c r e t i powinniśmy ją stawić i wolną oddać za Rekwizycyą od zacnie Sław. Magistratu. Inguantumby zaś też Kosturkowa nie dotrzymała nam do stawienia się do Dekretu. My to zaciągamy na siebie osoby nasze i Possesye nasze że gotowiśmy egzekucyą zasiąść i za

wszystko odpowiedzieć i to dokładamy strzedz P. Boże komukolwiek jakiejkolwiek szkody, onąż też Kosturkową lub w jakiem zdrowiu lub też w bydle lub też w jakichkolwiek okazyach za doświadczeniem na niąż gotowiśmy za wszystko odpowiedzieć. Co dla lepszej wiary i wagi w Aktach Miejskich Ujskich przy zacnie Sław. Magistracie Ujskim podpisujemy się.

Następują podpisy trzech świadkow przyjaciół i męża obwinionej*).

Dzieje i przewinienia Studzyny tak dalekiemi się być zdają od tego co uważano zwykle za czary, że przebieg procesu wytłómaczyć sobie można jedynie suggestyą, wywołaną przez proces o czary odbywający się w pobliskim miasteczku. Kobietę przebieglejszą, mądrzejszą, a może nie gorszą od innych dawno miano widać na oku, bo niejednemu dała się we znaki. Obawa i niechęć gromadziły się dokoła niej, dopomagały do tego prawdopodobnie jakieś echa jej niezupełnie czystej i jasnej przeszłości, nie było przecież wyraźnych powodow do jej ukarania — lub usunięcia. Pomysł czarów nasuwa pożądaną sposobność, jako czarownica Studzyna odrazu znajduje się poza obrębem zwykłego prawa, o wszystkie niechęci i zadawnione pretensye wybuchają odrazu w potępiających ją świadectwach, wszystkie objawy współczucia czy sympatyi zamilknąć muszą wobec stygmatu czarowstwa.

Kto wie ile podobnych epizodów pokrywa mgła dziejów, ile ofiar spłonęło na stosach dlatego tylko, że sąsiedzi zrozumieć nie mogli ich postępowania, a tłum żądał silnego wrażenia?

Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.

„ŚMIERĆ“ ADAMA ZNAMIROWSKIEGO.

„Czuję samem sercem wiedzy, że związek pni i traw, nieba i horyzontu tak jest właśnie sprzągnięty, aby dawał najstraszniejszą boleść, że wszystkie rzeczy w bezmiarze na to wiążą się i potęgują, by serce zepchnąć w noc nocy, w piekła piekieł, że zwisanie każdego liścia, każdej chmury jest tylko któremś słowem bólu, jest tylko bólem i złem.

W zimnej świętości pustki czai się mroczna kusząca zagadka.

Szklana cisza mówi o ręce upiornej, dławiącej cudne gardło tajemnicy. Obłoki męczą się jak sny nie mogące dojść do świadomości niby mary dobyte z głowy konającej. Ukryte walki żywiołów zakłócają wciąż złotą szatę opatrzności.

---

*) Pozostawiłam umyślnie suchą formę protokułów z ksiąg ławniczych, ponieważ odtwarza ona naiwne prowadzenie i pojmowanie sprawy, a w swej prostocie jest przecież wstrząsającą. Z powodu nieustalonej ortografii ksiąg ławniczych, zastosowałam pisownię dzisiejszą.

Jakaś świetlana zbrodnia wypełniła przestwór spiżowym, nieprzepartym gwałtem. Wessała w siebie wszystek dech ugorów, w piersi ziemi przyczaiła się krwawym wulkanem.

Coś okropnego dzieje się mimo światła i mimo słodkich rozmarzonych woni".

Kto mówi?

O! pustko, straszna pustko!

Przyodziałaś zaczajony głos nieskończonych czuwań, w płaszcz czyniący niewidzialną tajemnicę, która spazmem jęku mówi o sobie, że jest po wieki trwać będzie.

Przytuliłaś do suchotniczego łona, oczy, piekielnych widzeń oczy, które błądzą po hieroglificznych skrętach twych krwawych rubieży.

Ramiona goniące znikomą woń nicości, na twoich rozpostarłaś bezmiarach, by oszalały w kurczowych swych splotach.

Pustko — głos cię zdradzi, zdradzą oczy i ramiona.

I wyjdzie z ciebie, wiedziona przez przewidzeń oczy, na oszalałych dźwigana ramionach dzika pieśń o śmierci, o nienawistnej bladej amazonce, którą ty sama wykarmiłaś spleśniałem mlekiem twych pierni skostniałych — o czuła macocho!

I przemówi głos czuwań łopotaniem gryfowych skrzydeł.

Przez śmierć przemówi tajemnica uśmiechniętem obliczem sfinksa głoszącem: jest i niema.

Pustko, jedyna wyrażalna siostrzyco nicości, potworny płodzie geometrycznej wyobraźni, ułudnych istestw królowo i pani — zanim wrócą do cię oczy i ramiona, które wyszły z ciebie — zaprawdę, zaprawdę ognistym mieczem objawień przebiją czerep zbutwiały twej czaszki i zadymią wystrzałem trujących prochów twej purchawki.

Ustał zapędliwy puls życia. A na ospałe kretowiska bociania rozniosła się ciekawość i na jednej przystanąwszy nodze wnika słuchem w głuchą oddal.

Poczem klekoce odwieczne pytanie: Skąd głos idzie?

Gdzieś coś było i zapadło się. Zapadło się zamczysko odwieczne, strzeliste, bodące duszę niebiosów, czy może świątynia prastarych wierzeń, szerokobiodra, kopulasta, ponura. Gdzieś coś się zapadło grzebiąc ze sobą miliardy istnień bez śladu. A dymy jeno i kurzawy zatraceń okropnością zwaryowane, błądzą po ugorach i łanach, owijają się wokoło żywicą rozpachniałych pni, osiadają na pączach, wpełzają w zaduchę ciasnych zaułków i zawisają błędne nad rozwidnioną jasnością człowieczego domostwa. Pętają skowronie wzloty dziewiczej piosenki, dławią oschłą gardziel schorzałego starca, padają ciężarem na łona zapłodnionych nie-

wiast i wieńcem legend tajemniczych obalają ponure czoła twórczych marzycieli.

Jak dymy one i kurzawy idzie pieśń o śmierci.

O tem jak w granitowe jej lica patrzą oczy życia przerażeniem pianej rozkoszą dziewczyny.

A śmierć mówi im mroźno, wyniośle:

Jam metafizyczna prawda, prawda odwieczna jakoby kłamstwo metafizyczne, odwieczne kłamstwo.

Obie jesteśmy przemijając. Ty jednak złuda złud, nieistniejące istnienie odwiecznej nicości. Jam początkiem i końcem bytów bez wymiaru, bez czasu, ty ośrodkiem kołujących w przestrzeni przemijań.

Jam bólem bólów, rozkoszą rozkoszy, ty bólem rozkoszy i rozkoszą bólów.

„Małą nicością jesteś, małą i śmieszną i kłamiącą życie.“

Wiosno i wy cudne rojenia o potędzę i ukryty skarbie – gdzieście się zabyły?

Was nie było.

Od początku śmierć ze mną była, mieniąca się barwami wszystkich pór roku, wszystkich pór roku zadająca męki i rozkosze. I ciebie nie było śnie o kłamanej potędze, ino śmierć sama potęga i prawdziwą darząca potęgą. Nie miałem innego skarbu prócz trumien i cmentarzy.

„I wszechświat wymknął (mi) się z rąk, mienił się w śmieszną lalkę, jak gdyby ulepioną ze śmiechu idyoty, w lalkę co tańczy w takt dreszczu zdarzeń przyszłych i przebrzmiałych i pada potem w toń wieczną, a mniejszą niż ucho igielne“.

A wspomnienia?

„Chcę, raz jeszcze pianą wspomnień zaśmiać się załkać na tajemniczych błędnych wodach baśni.“

Jak dziwne owe łąki, owe wierzby i topole, ku którym wybiegało cierpienie obłędne. I owe Tatry i rzeki.

Jak grała młoda siostra, gdy „wypękł z jej krwi sen przekreślony trumną.“

„Co znaczy czas?“

I była ukochana, przedziwna, błogosławiona śmierci kochanka.

Garnęła się do niego w słodkich pieszczotach i oto na trumny patrzyli oboje i katafalki tańczące przed nimi widowisko okropnych przeznaczeń. I razem tańczyli z trumnami „melodyjnym pląsem osuwając się w piaszczystą próżnię“. A czasem ona grała lub on pokazywał jej lalkę swojego szczęścia.

Zawsze śmierć mieli w sobie i przed sobą; i wówczas gdy na dworcu kolei żegnali się dzikim splotem ramion, i wówczas gdy wirowali po sali

balowej i gdy ich noc powiodła w mroczny pleśnią rozpłakany „las“ i w owej strasznej chwili pierwszego spotkania.

„O przemijanie, przemijanie“.

Głuchy, obłąkany żal za tem co zdało się być kiedyś.

I straszne, potępieńcze przekleństwo na ciche trawy i cierpiące drzewa, na „łono oceanów i łono matki rodzące“, na barwę, na kształt, na ruch, na myśl, na chwilę narodzin.

Przekleństwo oszalałego bólem objawień i bólem przeznaczeń.

Pieśń leci tocząc skłębione fale z nad których wyzierają trupie twarze wizyi okropnych, szalonych, leci pieśń gnana widmem śmierci w śmierć samą wcielona.

Brak tchu. — Czego chcecie? Dowiedzieć się, zbadać? Zalęknionem wejrzeniem mówicie, jak zwykle: jak? poco? dlaczego?

O wy śmieszni! Któż wam odpowie, kiedy nie było odpowiedzi i nie będzie po wszystkie czasy. „Nie słabym, nie kalekom mój tajemniczy gwałt chce wkamienić, wełkać, wmusi nad wszystko wyniesioną śmierć.“ Wy słabi, łaknący życia—nie żyjecie.

„Zabiłem moje życie.“ A jednak przepotężna śmierć nie cofnie mego istnienia, „nie uczyni niebytem życie, które było“.

„I cóż że umrę ja, który nicość unicestwiłem“.

Więc niema bytu i niema nicości, niema ni życia, ni śmierci.

„Cóż jest?“

* * *

„Gelobt sei uns die ew'ge Nacht
Gelobt der ew'ge Schlummer“.

Niedawno uwielbił tak śmierć ponury niemiecki romantyk (Novalis: Hymnen an die Nacht, 6 Sehnsucht nach dem Tode — Hymn do Nocy, Tęsknota do śmierci. Zdawało się, iż śmierć po wszystkie czasy ukojeniem będzie i zakończeniem wszelakich tęsknot i cierpień.

A oto zjawia się tęsknica, wychodząca poza grób i skonanie.

Oto padł krzyk, który wiecznie tułać się będzie w wieczności.

Czy tylko ci, którzy go usłyszą nadążą drogą męczeńską do źródliska bólu, z którego został poczęty?...

Roman Jaworski.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW*)

Na polach pod Waterloo wzniesiono tymi dniami (dnia 28 czerwca 1904), obok monumentu angielskiego, hanowerskiego, belgijskiego, monument francuski. Jestto orzeł zraniony, trzymający w szponach strzaskany sztandar „Wielkiej Armii“, dzieło zmarłego niedawno artysty Gérôme'a. W tej chwili te monumenty są ostatecznem zamknięciem dalekich zdarzeń, kryją w sobie dramaty, które się na tem miejscu rozegrały; wszystkie zdarzenia epoki całej zdążają fatalnie ku temu polu i ku tym monumentom; gdy niema tu nikogo, coby podsłuchał, może rozmawiają z sobą o zmierzchu... zwyciężeni i zwycięzcy. Tłumy, które tu na tę rozległą zeszły równinę, żeby swoją obecnością uczcić uroczystą chwilę, wysłuchały nabożnie szeregu znakomitych (tak podają) mów, gdy zaś potem zmierzch zapadający dał znać, że pociąg już czeka niedaleko, nastał popłoch wśród tłumów, które rzuciły się do odwrotu. Zwycięzki Zmierzch za nimi gnał złowrogo i nieubłaganie, że na wyniosłościach monumenty ostały się samotne w rozległej nocy. W popłochu ten i ów, – szczegół mało ważny – co głowy nie tracił, zmagał się może z myślami, nie wiedząc, czy to dzisiaj, czy to dawne czasy minione. Pola te (które można było widzieć w dość wiernem odtworzeniu scenicznem) są jedynym punktem wyjścia dla ożywienia epoki napoleońskiej, dla dramatu o Napoleonie. Drugim punktem jest tum Inwalidów w Paryżu z grobem cesarza. Lecz ten dramat pewnie kiedyś napiszą Francuzi. Pola te przeszły do historyi jako „ponura równina“.

O tej uroczystości odsłonięcia monumentu podały wiadomości dzienniki. Jeden z korespondentów dziennika francuskiego zatytułował swoje sprawozdanie: „Gloria victis!...“ Tytuł może nieco przesadny. P. Żeromski napisał powieść (w 3 tomach) p. t. „Popioły“. Książka ta tem różni się od innych książek i od ludzi, że chociaż władzą nie rozporządza – a mogłaby panować! – woła niemniej przesadnie „Vae victis!...“ Okrzyk to znany i stary. Dzierżą go w ustach zawsze czciciele faktu dokonanego, dla których wartość rzeczy mierzy się powodzeniem lub pożytkiem. W tej książce wojska polskie z epoki napoleońskiej oceniają swoje własne czyny w ten sposób, że je pogardą obrzucają. Z grobów wstają i popiołów do martwego życia i potępiają się daremno. Nierozsądne popioły! Snują się wśród tych wojsk jakowiś ludzie obcy, nieczuli na przemożny powiew czasu, nie wiedzący, ponieważ nigdy na tych polach bitew nie byli, jakoweś cienie i upiory z przyszłości: Olbromscy, Cedrowie, Gintułty i kto nie, rozgrzebują popioły, sądzą, wyroki wydają, potępiają. Niczem dla nich moce fatalne, niczem duch, nieznana siła, która tych ludzi wojennych gnała na śmierć. Interes przedewszystkiem! To również, niezawodnie, lecz co nadto? Pan Żeromski przedstawił cały hufiec desperatów, którzy bez wiary, ze wstrętem nawet idą na pole walki. Tak iść na wojnę, to tyle, co dezercya na sposób owych nielicznych chłopów, których autor skrzętnie powyzbierał z dokumentów, żeby dowieść, iż entuzyazm nie był wielki ani nadmierny. Był owszem mały i były również niechęci. Wiadomo. Lecz z tego nic nie wynika. Wniosek to niezbyt poważny, gdy sprawy roztrząsa się historyczne, doniosłe. P. Żeromski dzisiejsze zgryźliwości, swoje własne, dał ludziom tamtej epoki: to można

*) Stefan Żeromski: „Popioły“. Powieść z końca XVIII i z początku XIX wieku. Warszawa 1904.

i wolno (chociaż nie można takich dać, które są związane z dzisiejszym ustrojem), lecz to budzi podejrzenie, że ci ludzie nie stamtąd są, że są dzisiejsi, a patrzą wstecz, porównywają skutki osiągnięte z wysiłkiem. Tymczasem powieść nigdzie tego nie mówi, czasów z sobą nie łączy nijak, pozostaje w obrębie końca XVIII i początku XIX wieku, w samym odmęcie wypadków. Olbromscy, Cedrowie, Gintułty, to przeto intruzy. Zdaje się, że ten wyraz „Popioły“ pojęto nieco symbolicznie i do zbytku sentymentalnie, jak to cechą jest właściwą początku stulecia XX. Pan Żeromski myślał uniknąć zarzutu w ten sposób, że dał figury zmyślone, wszystkie zaś historyczne przedstawił prawdziwie. Lecz i zmyślone figury muszą należeć do jakiejś epoki: autor je umieścił w epoce napoleońskiej, więc i one, czy zmyślone czy nie, muszą być prawdziwe. Tak zaś użył Żeromski wybiegu nieartystycznego. Widoczna bowiem nieomal, że ci Olbromscy, Cedrowie, Gintułty, to osoby, mające wyobrażać obecność, że nie są to ludzie z owej epoki ujęci myślą dzisiejszego poety, lecz dzisiejsi i tamtych sądzą. Nie idzie tu o to już, że ci ludzie mają idee dzisiejsze, bo możnaby je ostatecznie i w owych odnaleźć czasach, mogą je mieć, lecz, że nic ponadto nie mają. Są to kategorye umysłu autora, oderwane, nie ludzie. Dzisiaj ten i ów może dawnych wojowników ganić, że przelewali krew dla chimery, którą im kłamliwy cesarz ukazywał zdala, może okazywać litościwe serce (w rozmowie) dla tylu, co już pomarli; inni mogą ich chwalić, na nic to nie zda się nikomu. Ludzie owi przeto nie żyją, myśli swej i ducha nie okazują, a wychodzi na jaw sentymentalność tego i owego, brak taktu dla tego co minęło, dla przeszłości.

Na owo pobojowisko pod Waterloo jeden z pisarzów francuskich (Stendhal) zawiódł swego bohatera, Fabrycyusza (Chartreuse de Parme). Jak oddziała na jego umysł i serce odmęt walki, jakim z tego wyjdzie lub nie wyjdzie? Zarzucają mu, że opis pobojowiska i samej bitwy nie jest dokładny. Sam Beyle, zdaje się, tych równin nie widział nigdy. Lecz to zarzut niewielki, gdy zważy się, że był w bitwach innych, że był żołnierzem, żył w czasie tych wojen i sam w nich brał udział. Mógł więc opisać bitwę, którą sam widział, pole, na którem sam był. Wszak szło o bitwę i wierny jej opis, o nic ponadto. Beyle miał poczucie natury. Nie opisał tego właśnie zdarzenia, w którem jest jego bohater, to może błąd, ale nie mógł go umieścić w innych, których ten bohater nie mógł widzieć, że był młodszy — i wreszcie opis bitwy nie jest u niego upiększeniem, lub uładzeniem tego, co wyczytał w dokumentach, niema tam fantazyowania na temat walki, huku, odmętu i szczęku zbroi. Beyle pisał w pierwszej połowie XIX wieku. Przy końcu drugiej połowy tego samego wieku wystąpi inny pisarz, Paul Adam, i wyda grubą książkę „La Force“. Opisze całą epokę napoleońską, wojny, bitwy, ruchy, działania. Pojąć łatwo, że bitwy już dziś opisywać nie można jak opisywano dawniej. Bitwa sama jest zbyt zawiła: biją się tak lub owak, to niezbyt ważne. Wystarczy jedną jej chwilę wybrać i oznaczyć jej rolę w losach, które się rozstrzygają. Powikłanie zdarzeń, ich bieg fatalny, oddziaływanie ich na ludzi, oto rzeczy ważne. Paul Adam opisuje, jak opisywano dawniej, jak niedługo po nim opisywać będzie Żeromski. Bitwa toczy się, krew cieknie, trwa nieraz bardzo długo, lecz rzeczy naprzód nie posuwa, nie cofa jej, mogła nie być wcale. W sumie zdarzeń historycznych ma swoje znaczenie, o tem wiemy z historyi, lecz tu, w powieści można ją było opuścić. (Już u Stendhala było inaczej). Lecz jakiej rzeczy

nie posuwa naprzód, nie cofa? Otóż właśnie tej rzeczy, szukamy, może ją na dalszej drodze znajdziemy.

Oczywiście, że mając do czynienia z ową epoką, pisarz musi uwzględnić wojnę. Każde niemal zdarzenie tej epoki wiąże się z wojną. Lecz gdy idzie nie o kronikę wojny, lecz o jakąś rzecz, wystarczy wojnę umieścić w tle, w perspektywie, w głębi. Żeromski opisuje same bitwy (tak niektórzy bataliści malarze), chociaż już są opisane w kronikach i w innych dziełach. Czasami przychodzi na myśl, że autor chce pokazać okropności wojny. Albo, że chce uchwycić szczególny wyraz zwierzęcości, zapamiętania, szaleństwa. Lecz to jest sprawa chwili, która mija. Jakby poza. W związku z rzeczą główną to może mieć znaczenie, lecz jeszcze owej rzeczy nie mamy. Nowych szczegółów w tych opisach niema, nowego oświetlenia niema. Fakty dodane są możliwe, ale dla rzeczy samej nie stanowcze: bez nich wypadki odbyć się mogą i odbyły się napewno. Tak samo ci nowi ludzie dodani do epoki nic nie wyjaśniają. Olbromscy, Cedrowie, inni, mogą żyć nawet nie na tle wojny. Bez nich te wypadki odbyły się, mogą więc oni żyć bez tych wypadków. Epoka tu jest intruzem, albo oni są intruzami. Dwie to sprawy zczepione, a sobie wzajem obce.

Wynikło z tego pomięszanie chaotyczne. Podniesiono w „Popiołach“ brak kompozycyi, lecz to uważano za rzecz małej wagi. Nazwijmy kompozycyę inaczej, a okaże się, że to rzecz wagi wielkiej. Istotnie też nie o brak kompozycyi idzie, lecz o brak myśli. Owej rzeczy, której szukamy, już do końca nie znajdziemy. W tej powieści każdy człowiek jest kategoryą narodową czy społeczną, która w zdarzeniach udział swój ma, lecz nie sposobem naturalnym. Chcąc uniknąć szablonowości, autor usiłował ożywić swoje figury. Widoczne to wszędzie. Jedną z głównych figur tej powieści jest niejaki Rafał Olbromski. Przedstawia siłę (bez dodatków). Jest więc naturą szeroką, która wyłamuje się z pod wszelkich tendencyj, ale wzrok baczny w tem właśnie tendencyi dostrzega. Pisarz swoją ideę ubiera, stara się tendencyę ukryć. Więc przesadził. Olbromski mimo wszystkie rozpętania jest figurą ciasną, nie jest człowiekiem. Jest zaś synem szlachcica, szlacheckość w nim wybucha na zawołanie; szlacheckość ta jest „szewską pasyą“ Judyma z „Ludzi bezdomnych“. Żeromski c h c i a ł przedstawić człowieka działającego mechanicznie, pod naporem chwili. Tak; lecz tej chwili, jej przemożnego i zwycięskiego parcia nie przedstawia nigdzie. Instynkt, niemal zwierzęca natura, szeroka, jednem słowem. Wszystkie w ten sposób kroki z góry są uzasadnione. Lecz tego instynktu nie opisuje autor, nie opisuje przemożnej przewagi zdarzeń, nie okazuje wzajemnego oddziaływania tych rzeczy i dlatego Olbromski za każdym razem, (albo Cedro, inni) mógłby inaczej postąpić. Instynkt, pęd, pasya, to jakby wyrocznia, która oddawna tak postanowiła. Dlaczego, niewiadomo. Nigdzie niema konfliktu, któregoby obejść nie można. Rafał kocha się namiętnie w p. Ołowskiej. Lecz pani ta jest zdjęta z obrazu Gainsborougha, mówi rzeczy banalne, patrzy jeszcze banalniej, mści się pospolicie (przypomina Rafałowi, jak go niegdyś śmignęła „przez pysk“, wedle określenia tekstu). Miłość jest ślepa, wiadomo. W powieści zaś, w której ta miłość nie jest jeno epizodem, a rzeczą ważną dla charakteru bohatera, muszę widzieć przemoc, której on wolą czy niewolą ulega. Obraz skopiowany wiernie, lecz nie ma wyrazu. P. Ołowska ocenia autor, ale jej nie przedstawia. Tak samo jest z pejzażem, z każdem otoczeniem, nie wywiera wcale wpływu, idzie swoją drogą, rozwlekłą, a jednak skutek nastaje, pisarz bowiem czuje dobrze, iż tu skutek być musi, lecz nie umie go wywołać. Między terenem

a ludźmi, którzy się na nim poruszają, niema związku. Ludzie odbiegają od miejsca, na którem są, do innych miejsc myślą i na tem koniec. Budzą się w nich wspomnienia czego innego. Czasem podróżnicy tak rzeczy opisują, ale tu mamy z ludźmi do czynienia, których nam autor chce przedstawić. W „Popiołach" ludzie z otoczeniem połączeni są kreską. Czytelnik stąd wnioskuje, że te rzeczy należą do siebie, lecz przekonany nie jest. W owym Rafale budzą się ciągle zachcianki szlacheckie: liberum veto, szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie... Wrażliwość urobiona przez cywilizacyę, której brak rzeczy najważniejszej: kultury, związku z rzeczą powszechną. Rafał, rozpętany niby człek, siła przyrody, coś takiego, jest przeto nienaturalny nawskroś, jest ideą ogólną.

Jego przyjaciel Cedro jest inną kategoryą. To, czego niema Rafał, ma Cedro. Tak uzupełniają się wzajem. Przedstawia interes narodowy, gardzi tą wojną i tem wszystkiem, ale interes tego wymaga, więc się bije. Ranny pod Tudelą, szle zabójcze spojrzenie Napoleonowi, a ten, tragicznie krocząc i melodramatycznie, mówi: Soit. Między Napoleonem i niejakim Cedrą, rozstrzygnęły się losy narodu.

Książę Gintułt, trzecia kategorya. Magnat z dawnych czasów. Żołnierze na placu św. Marka w Wenecyi ściągają z bazyliki cztery bronzowe konie. Ks. Gintułt wchodzi w środek, wybucha w nim pasya, źrenica wolności, przypomina sobie, że to właściwie izba sejmowa i woła: „Nie pozwalam". Czytelnik może ulegnie złudzeniu, że to figura naprawdę z owych czasów. Językiem prawdziwym brzmi to tak: autor rozczytuje się w opowieściach, a gdy trafia na miejsce szczególnie haniebne, burzy się. Nic piękniejszego nad to. Miasto jednak zaznaczyć w samych zdarzeniach sprzeczność, kontrast, wysyła z swojej pracowni jakowegoś upiora Gintułta z dzisiejszych czasów i każe mu tam protestować; każe mu lżyć tych ludzi, co to robią, miasto pokazać, dlaczego to robią, jaka jest ta moc, która ich gna. Kontrasty wyszłyby na jaw same. Oczywiście nie widać, co go szczególnie na tę myśl o sejmie naprowadziło. Architektura placu do tego chyba nie skłania.

„Popioły" nie są powieścią historyczną, lecz powieścią z końca XVIII i początku XIX wieku. Taki tytuł dano dla usprawiedliwienia rozmaitych fikcyj. Lecz oznaczenie czasu tak dokładne nie dopuszcza fikcyi. Przez fikcyę rozumieć tu należy nie rzecz zmyśloną lub niemożliwą, lecz niepotrzebną. Olbromscy, Cedrowie, inni, w owej epoce są niepotrzebni, nic ich z tą epoką nie łączy, ona ich nie wychowała, nie pchnęła na wojnę. Gdzieś zaznacza niewyraźnie Cedro, że idee nowe panują — że ciągnie szeroki świat, ale to pozór. Żeromski widział, że inaczej Cedro byłby martwą kategoryą, gdyby wyłącznie dla interesu szedł na wojnę. Ubrał więc i jego. Niewątpliwie mogli istnieć i wówczas jak istnieją dzisiaj, tacy ludzie, lecz po co ich przedstawiać? skoro nie mają nic z swoim czasem wspólnego, ze sprawą powszechną, skoro nie są naturalni, skoro te idee nie gnają ich mocą niepokonaną, są zaś tu obce. Dlatego wiele tu poetyczności niema, poezyi.

A więc Olbromscy są to figury rodzajowe, bohaterowie powieści, która odbywa się na tle epoki napoleońskiej, lecz oni tam dostali się przypadkiem. Mamy tu zatem próbę przedstawienia obyczajów końca XVIII i początku XIX wieku. Rzecz nad wyraz zajmująca. Epoka ta najzupełniej wyraziła się wojną. Wojna kształtowała ludziom dusze i serca. Cokolwiek dzieje się w owej epoce, musi mieć związek z wojną. Lecz cała nie żyje na placu boju. Żeromski więc w licznych miejscach starał się odmalować epokę z tej drugiej

strony. W małej jeno części wypadło to artystycznie: epizod egzekucyi za bramami Krakowa. Przeważnie to jednak obrazki luźne, rodzajowe, ponieważ brak im perspektywy głębszej, zjednoczenia z ową drugą stroną czy pierwszą. Autor tu zdał się na pamięć czytelnika; po perspektywę i tło odsyła go do innych książek lub do poprzednich rozdziałów od tego właśnie oderwanych. Usiłowanie jest widoczne: na dworku starego Cedry gromadzą się oficerowie przeciągającego pułku. Zebranie jest liczne. Stary siedzi w pozie skopiowanej z pastelu Latoura. Panna śpiewa kuplety z owego czasu, sentymentalne, lekkomyślne i czułe. Intencya autora widoczna, lecz niezrealizowana. Autor miał przed oczyma ogólny obraz szablonowy: epoka tańcząca nad otchłanią, bo tak się to nazywa. Zapomniał jednak o perspektywie. Działania i szerokiego powiewu czasu nie znać i nie czuć. Nic się jeszcze nie dzieje, więc chwila niestosowna obrana. Za oknem nic się nie dzieje, z tego salonu niczyje oko nie wybiega poza ściany. Wiadomo tylko, że stary Cedro ma syna na obczyźnie, na wojnie. Lecz to dalekie i luźne. Odcięte od wszystkiego, rodzajowe. Epoka przedstawiona z jednej strony, nienaturalnie. Przy pomocy pewnych wiadomości można to w szerszy pojąć sposób. Tak, to jeno kopia bez wyrazu, bez znaczenia.

Tosamo odnosi się do opisu lóż wolnomularskich i do ceremonii przyjęcia do loży nowego brata. Ma to malować epokę. Lecz to tak dalekie od toczących się wypadków, że wprost wyłączyćby można, gdyby nie szło właśnie o sprowadzenie trafu: spotkania się Rafała z Heleną de With. Najwięcej usiłowań w tym kierunku jest w opisie balu na dworze marszałkowej Ołowskiej (księżniczka Gintułtówna). Rafał Olbromski z Cedrą wymykają się za granicę, żeby dotrzeć do wojska. Niebezpieczeństwo na każdym kroku. Lecz opis gawotu i wszystkich miłosnych uniesień Rafała i Ołowskiej, jest blady, materyał to nieobrobiony. Żeromski stara się otoczyć to niepozorne zdarzenie atmosferą niebezpieczeństwa czyhającego za oknem, czuje wyraźnie, że w takich zdarzeniach można odkryć związek wszystkich zebranych z całą epoką, można odkryć nieznaczne zaczątki i najdalsze rozgałęzienia. Lecz brak temu wszystkiemu zmysłowości, chociaż nią autor chciałby przepoić każdy szczegół. Cała rzecz staje się luźnym epizodem, opisem obrazu, a pani Ołowska kopią angielskiego płótna bez wyrazu. Mówi rzeczy banalne i kocha banalnie. Wszystkie te szczegóły malujące epokę, są obrazkowe i melodramatyczne. Napoleon, zdjęty z jakiegoś obrazu — w tym wypadku to może zaleta — lecz ten cesarz właśnie, w czasie przeglądu wojsk, zamienia spojrzenie z Cedrą. Napoleona nie przedstawiono, lecz oceniono. Ci ludzie go oceniają. Mogą się mylić, mogą mieć racyę, Lecz jego w tem niema. Tak samo p. Ołowską oceniono. Podziwia ją autor, jej samej nie widać.

Znikają i cechy obyczajowości. Zostaje powieść. Osoby tej powieści są kategoryami społecznemi, czasem sztucznie narodowemi. Tu jesteśmy na gruncie właściwym. Tło jest traktowane jak pierwszy plan, pierwsze plany zaniedbane. Zostaje zatem poprostu powieść, której figury wziął pisarz za narzędzie do wyrażenia pewnej tendencyi. Ta tendencya autora ich wszystkich łączy: epokę, ludzi, wszystko! Wypadki, ludzie zmierzają do tego: tyle wysiłku na nic! Czyż nie należało raczej?... Tu instynktem artystycznym wiedziony Żeromski umiał nie konkludować. Umiał zestawić kontrasty: idee to są ogólne, zgoda, lecz niechaj się zetrą. Żadna nie zwycięży. Taka jest rozmowa Piotra Olbromskiego, brata Rafałowego, z młodym jeszcze ks. Gintułtem. (Ów Piotr jest inną kategoryą. Przedstawia honor narodowy. Ginie dla uratowania honoru.) Taka jest

druga rozmowa tego samego Gintułta z Sułkowskim w Paryżu. Sceny nawet dramatyczne. Są to wyjątki, które tendencyjności nie pozwalają zapanować wszechwładnie. Znakomity to materyał do nowego wydania.

Odkrywszy ową tendencyę, można już niemal ująć w ręce mechanizm tej powieści. Figury przedstawione mogą istnieć na tle wszystkich epok, z żadną ich nie wiąże nic szczególnego. Mogą więc istnieć bez tych wypadków wojennych, a te bez nich. Są to wstawki. Dla przeprowadzenia tezy nie trzeba faktów historycznych, prawdziwych, można zmyślać, grupować wedle widzimisię. Niema dla nich kontroli, nic im kłamu nie zada. Otóż pisarz, pragnąc więcej solidności nadać swojej tezie, przeprowadza rzecz swoją na wypadkach już spełnionych (jak gdyby wszystko nie było już wypadkiem spełnionym). Teraz coraz bardziej rozumiemy. Epoka tu jest pretekstem jeno i niczem ponad to. Rozczytywanie się w dokumentach, podróże po różnych krajach i miastach, które szczególnie znaczyły w owej epoce, może i książka p. Adama, zbudziła upodobanie i podziw. Szło zaś o skrzyżowanie kilku kategoryi społecznych, które mają wydać o owej epoce sąd. W owej chwili te figury są to nascituri: Cedro, Gintułt, inni. Cienie jeszcze wówczas nie zrodzone, lecz jakby groźne swem kłującem spojrzeniem przyszłości, patrzącej wstecz ku przeszłości. Żeromskiego punktem wyjścia jest ogólna idea, atoli chcąc ją wyraźniejszą uczynić, darzy ją zmysłowością, namiętnością, jakby ktoś rzekł, naturą, lecz to natura zbyt ogólnikowa, figury zachowują piętno swego pochodzenia. (W rzeczywistości dzieje się rzecz ta naodwrót: autor przystępuje do badania faktów z tą ideą i ją w wypadkach odkrywa. Artyzmu w tem niewiele). Tak też i epoka ma być tylko uzmysłowieniem tezy, którą pisarz zręcznie chciał ukryć. Tasama metoda u wspomnianego Pawła Adama. Nawet główne osoby, Héricourt i Olbromski bardzo do siebie podobni. W tendencyjnych powieściach wszystko jest możliwe: więc Héricourt i Olbromski może przedstawiają tryumf mierności. Ponieważ jednak Żeromski urwał tu powieść i wysłał Olbromskiego na dalsze niepewne losy wojny, więc ten wniosek niezupełnie ścisły. Prawdopodobną jest rzeczą, że wyjdzie cało, tylko inaczej się okaże. Może pod innem nazwiskiem.

Widzimy zatem, że kompozycya, której nie mogą dopatrzeć się krytycy, jest mocna, zwarta. Wszystko się wiąże. Lecz książka jest nieartystyczna. Nic dziwnego, że krytycy wzięli ją za pewnego rodzaju systemat filozoficzny i wedle niej opisują pogląd autora na świat i życie. Co prawda, takie poglądy mało są zajmujące. Na życie poglądać nie można, można je czuć, czasem do zbytku, do szału. Można mieć pogląd na rzeczy minione, zastygłe w jakimś kształcie, który świadczy o życiu minionem, uparcie złączonem z tym kształtem, historycznym czy artystycznym, lecz na życie poglądu mieć nie można. (Można jeno wykazać, że takie poglądy nie na wiele się zdadzą). Życie płynie i mija i zmienia się nieustannie. Lecz oto ów pogląd: po największem szczęściu następuje u Rafała np. największe nieszczęście. Stąd wniosek: Żeromski jest pesymista. Nie widzi szczęścia niezmąconego. Filozofia nie trudna wcale, jak widać, kontrastowanie łatwe. Widzieliśmy, jak kontrasty przez Żeromskiego nagromadzone mogą mieć i mają inne znaczenie (o tem wyżej). W wypadku Rafała, to nieco sztuczne i chęć okazania niezmożonej żywotności tej figury, która zwycięsko wychodzi zawsze. Lecz krytycy i inni powtarzają: takie jest życie! Niezawodnie. Ale jest i inne codziennie. I z tego nic nie wynika. Mając zaś ludzi przedstawić, artysta ukazuje ich wolę, ich myśl i dzieło, dopięte czy nie, to jedno. Wówczas to artyzm – inaczej moralizowanie.

Ponieważ je podano za figury owej epoki, więc te postaci, czy o nich historya mówi czy nie mówi (nic, że Żeromski dał zmyślone nazwiska prawdziwym ludziom, byłby nawet pod prawdziwe nazwiska dał nieprawdziwych ludzi), są ludźmi owej epoki, nie można ich przerabiać na lalki tendencyjne dla podtrzymania tej lub owej tezy oderwanej. To ani nie jest historya, ani sztuka. Dla oderwanych zaś tez najstosowniejsze są oderwane zdarzenia. Już należy się praw stylu, więc myśli, trzymać. Żeromski tak widzi i takie jego prawo. Niewątpliwie. Lecz w takim razie sfałszował swoje widzenie, przez połączenie dwóch spraw, które do siebie nie należą.

Obyczajowość, historyczność, wszystko to więc znika (wszak to rzecz jedna), a pozostaje próżne wzdychanie nad losami spełnionymi na zawsze. Epoka napoleońska odznacza się nadmiernem wybujaniem żądzy chwały. Lecz Sława jest bóstwem i trzebaby jej może poszukać w przyrodzie, a wówczas wyjaśnionoby może nieco to parcie niezmierne, tę jej przemoc fatalną, podobną do żaru słońca, który zabija, lub do zmierzchu, który zwycięża — może pozornie. Obok więc żądzy chwały, pospolicie pojętej, są tam sprawy bezinteresowne, niejasne, tajemnicze, a naturalne. To duch. Działają znienacka jak wszelkie nieprzewidziane i nieobliczalne zdarzenia, rozwiązują sytuacye logicznie, a kapryśnie, że odgrzebywać potem trzeba, żeby dotrzeć do właściwego znaczenia rzeczy. Są tajemną logiką wszystkich zdarzeń. Tych tajemniczych, a naturalnych stron w ludziach Żeromskiego niema (są tylko pozorne i ogólnikowe u Rafała, oderwane), dlatego to cienie, którym tak łatwo wołać: „Vae victis!...“ Nie powiodło się, więc sądźmy. Rzeczy wymagają lżejszego, swobodniejszego patrzenia. Może takie patrzenie jest razem bardziej poważne. Wolno również inaczej, lecz nie można zakrywać swej chęci pozorami. Odnaleźć je łatwo.

St. Lack.

T. MICIŃSKI:

TATRY.

NA HALI MIĘTUSIEJ.

Mgły się suwają nad czarnym borem –
krople padają z drzew –
słyszę daleki słowiczy śpiew
w sercu mem chorem.

Na niebie groźne mroczne chmury –
w mgłach mój nieznany szczyt –
ptak we mnie śpiewa złotopióry:
już świt! już świt!

DROGA DO KEZMARKU.

Nieskończoność we mnie trwa –
lśnią szmaragdy czarnych borów –
lśnią szmaragdy czarnych borów.
Na kaskadzie nimfa łka
w grotach ciemnych wśród jaworów.

W Koperszadach złota mgła –
zapóżniony gość wieczorów –
noc na koniu czarnym gna
i zamyka raj przestworów.
Zapóźniony gość wieczorów –
Noc na koniu czarnym gna.

W WĄWOZIE SMOCZEJ JAMY.

W czarnej jaskini gdzie żył smok
swietlaki krążą złote –
o Matko Boża, niech Twój wzrok
rozjaśni życia grotę!

Przepaści pełen groźny jar,
gdzie się toczyły lody –
o Matko Boża – niech Twój czar
powiedzie nas na Gody!

PRZY SKALE PISANEJ.

Jednodniówki konają na wodzie –
czemu konają? nikt nie wie.
Rój motyli krąży na swobodzie —
czemu krąży? nikt nie wie.
Gdy w chmurach już od lat milionów
czemu w chmurach? nikt nie wie.
Serce tęskni do morza i tronów –
czemu tęskni? nikt nie wie.

IDĄC Z KOŚCIELISKIEJ.

Niebo tak modre, jak myśl Zbawiciela,
gdy potępieńców wyciągał z otchłani –
od ziemi jakaś nas przepaść roździela –
a nad przepaścią my dwoje zbłąkani.

Serce mi pęka – a nikt czemu? nie wie –
Wiwian mi zwieścił: tęsknota za niczem!
siedzę na drodze, zasłuchany w śpiewie,
który o szczęściu mówi mi zwodniczem.

Leśne zielone kałuży źwierciadło,
jak przez Chrystusa odpuszczone winy –
widzę mej duszy niezmierne mokradło
i wiary mojej ognik złoto-siny.

Życie aniołów tętni w każdej trawie,
marząc o gwiazdach, umierają w chuci –
tych gór olbrzymy do ziemi przykuci –
o, księżyc! księżyc śmierci wschodzi zbyt jaskrawie!

W. MITARSKI. FRAGMENT DRAMATYCZNY I.

Jam tę jakubową drabinę męczarni,
Która od szczytów niebios na samo dno piekła
Wiedzie, schodził tyle razy!
Jam na jej szczeblach widywał obrazy
Czarowne, jako te, które widokiem oazy
Stęsknione oczy wędrowca na pustyni krzepią.
Jam też i takie, które ślepią
Zwierciadła duszy najbardziej zuchwałe,
Takie, co jak przejście burzy, trwałe
I wieczne ślady w korze dębów ryją.
Pejzaże, co zbyt krótko żyją,
By je objąć pamięcią, zbyt straszne,
By je znowu tworzyć we wspomnieniu.
Pomnę jedynie, że od ich widoku
Cały duch, jako tygrys pręży się do skoku,
Nozdrza wzdymają się pragnieniem walki i krwi,
Strach włosy jako na psie jeży,
Śmiertelne dreszcze biegną od stóp aż do głowy...
O! na widok Jehowy
Mojżesz drżał jako nędzny liść wichrem wstrząsany,
Duch jego kąpany był w błyskawic świetle, by potem
[jako świetlany
Słup, pochodnią ognistą świecić pośród Nocy...
. . . .
Czyjeż przeklęte niezbadane moce
Każą wędrować pod osłoną nocy, każą kryć czoła pod
[kapturem gniewu,

Oczami ciemność bóźć, utykać się wśród drogi,
Na którą przeznaczenie pcha, czyli też bogi
Zazdrosne szczęściu...
Czemże ty jesteś, szczęście! Ziemio obiecana
Tylu tęsknych uniesień każdej ludzkiej piersi
Powiedz, czemu w głębokie bruzdy poorana
Niejedna twarz wieści
Daremny trud, znużoną nadzieję,
Którym już dawno zaparłoś wierzeje
Swoich pałaców, gdzie miasto legowisk dla nędzarzy,
Gościsz u siebie promiennych i wesołych twarzy
Tłum, niedbały o twoje uśmiechy i twój byt.
. . . .

LEGENDA.

III.

Punktem wyjścia dla opisania biegu zdarzeń tego dramatu o Wandzie jest owa tragiczna chwila, w której olśnionej blaskiem królowej ukazuje się realizacya, jakby objawienie jej myśli; o tę myśl swoją walczyła, poświęciła się bogom, lecz to myśl była niejasna, a teraz w pełni staje, świadoma. A więc chwila, w której Wawel w dzisiejszym kształcie wynurza się z Wisły; „z podwodnych skał ścieliska – stają mury zamczyska, – ze złota a z błękitu – od spodów aż do czczytu“. (str. 108).

Widać więc, że punkt wyjścia jest i kresem dramatu i kresem myśli Wandy. Rzecby można, że dla patrzącego na ten obszar ziemi, jest to odpowiedź na pytanie: jak to wszystko, co tu widać nad Wisłą, stało się. Punktem wyjścia więc, jest chwila obecna, pejzaż, teren. U Wyspiańskiego pojęcie terenu i sceny jest jedno. Znaczenie jej to nowe, nie znajdzie go niemal nigdzie. Inni bowiem pomysły swe układają w oderwaniu od gruntu. Taka scena, być może, w dzisiejszych dopiero czasach możliwa.

Pomniki, mogiły, kurhany, gmachy i całe miasta mają dla wyobraźni znaczenie, o ile są terenem, na którym bój staczają myśli ludzkie, o ile są dziełami ludzi, którzy tu żyli. O ich życiu więc mówią zabytki i pomniki, i to życie tkwi w nich wiecznie.

Tradycyjne obchody, które na tem miejscu odbywają się corocznie, pobudzają jeszcze silniej wyobraźnię, która przeszłość umiłowała i przenoszą ją w czasy minione. Każdy grunt ma w sobie zasób ugrupowań podaniowych, mitologicznych, historycznych, które żyją zawsze, że nie wiedzieć, czy to bóstwa, czy śmiertelni. Poeta nie szuka dla swych pomysłów dekoracyi, sztafażu, lecz pomysły razem z gruntem przychodzą, na nim wyrastają. Takie zatem chwile łączą się z czasem minionym mocą wstrząśnienia. Poetycką wyobraźnię uderza

to miejsce właśnie swą dramatycznością, tem, że się coś tu stało i dzieje ciągle, co ma w historyi czy legendzie czy nawet w pejzażu kształty wyraźne, ludzkie, związane z tem miejscem na zawsze, może wieczyste. Skutkiem tego te zdarzenia odległe jawią się widzeniu jako obecne. Dramat w ten sposób, a szczególnie teatr i scena, inne otrzymują znaczenie. Scena jest bowiem miejscem, od którego zdarzenia przedstawione są nieodłączne. Pomniki architektury, kształt przyrody, wszelkie szczątki są jakby powiązane węzłem następczym i logicznym, że zdarzenia wynikają z nich, a one ze zdarzeń, koniecznie. Dramat dlatego jest tu formą jedyną. Rzeczy te na tem miejscu dzieją się zawsze.

Drugie wydanie „Legendy" ma na okładce krajobraz nadwiślański Wyspiańskiego. Widać na pierwszym planie, u dołu, na lewo urywek baszty i blanki koloru bronzowo-ceglastego Wawelu na tle skrętu Wisły, która gubi się w chmurach. Na drugim brzegu zarośla, wikliny w poplątaniu niewyraźnem, że myśl docieka, co się tam dzieje. Nocą w obliczu Wawelu, gdy kształty i linie zacierają się, nasuwa się wyobraźni, wybiegającej do zarania dziejów, przemożnie ten związek tajemny rzeczy, które w świetle słońca, rano, ukażą się w całej okazałości. Słyszeliśmy poprzednio, że lud przywiązuje podania do pewnych miejsc, żeby wyjaśnić i zdać sobie sprawę z założenia osady. Otóż, jak powstał Wawel, powiedział wstęp do piewszego aktu, jak ostał się przed wrogiem i rozwinął do kształtu obecnego, mówi cały dramat. Że sam Wawel, dzieło Wandy, lub Krak i Wanda, wydadzą się bóstwami tych miejsc, w tem styl Wyspiańskiego, same ku temu zdążają rzeczy.

Podanie mówi o napadzie alemańskim i o śmierci dobrowolnej Wandy. Śmierć ta jest zagadką. Nauka, zbyt ciasno pojmując naturę, uogólnia istoty ludzkie, miasto je bardziej jeszcze wyodrębniać i usuwa Wandę zupełnie: jestto zjawisko przyrody, zwięźle, i nic ponad to. Lecz tu wkracza nowy pierwiastek. Są uczeni, którzy chcą wziąć Wandę za istotę nadprzyrodzoną i widzieć w niej jedną z tych dziew nadziemskich, co jak Dafne i Syrinx broniły się od związku nawet z bóstwami. Może ten mit oznacza chmurę wiosenną ściganą po niebie przez chmurę zimową i wracającą duchem do swego właściwego żywiołu, do wody. Chmura zimowa snać była pierwotnie smokiem, potem przeszła we wroga, a w końcu w Niemca. (St. Grabowski o „Mytologii" Szulca. Bibl. warszawska 1882. I. 128). Tym nowym pierwiastkiem jest nadprzyrodzoność. Myśl logiczna rwie się w ten sposób, natura bowiem sama nie wystarcza; i widać, jak nauka odbywa drogę odwrotną. Podanie coraz zbliża się do ziemi, nauka coraz bardziej się od niej oddala. Poezya podań istotnie wiedzie do tych uogólnień, lecz usunąć Wandę znaczy zniszczyć podanie, legendę razem z poezyą, i jeszcze przeto nic nie wyjaśnić. W „Legendzie" Wyspiańskiego i to się znalazło, lecz w innem, bardziej naturalnem następstwie.

W kronice Kadłubka o tej śmierci dobrowolnej mowy niema; tam Wanda obejmuje rządy po Kraku II i panuje aż do śmierci. Kończy kronikarz to podanie dodatkiem, że Wisłę od niej Wandalem nazwano. Wandala zestawia nauka z rzeczą istniejącą, więc prawdopodobną, z wądołem lub wątokiem. Nazwę zaś Wandy jak się zdaje, dawano Wiśle w górnym biegu, w legendarnej krainie Wandy i Wandzinej mogiły.

W późniejszych kronikach jest mowa o tem, że Wanda pokonawszy wroga i przyjąwszy hołd wierności od wojska obcego, za tę tak pomyślnie i szczęśliwie ukończoną sprawę ofiarę z siebie czyniąc bogom, dobrowolnie skoczyła

w Wisłę, spełniając tak ludzkiej natury przeznaczenie; że wreszcie za sprawą bogów wynurzoną została, a lud na górze koło Mogiły kopcem ją przykrył.

Oto opis napadu i odparcia najezdców wedle Kadłubka: „...skoro tylko wojsko jego spostrzegło królowę przed sobą, wnet jakby słońca promieniem rażone straciło wojenny animusz, odrzucając walkę, któraby była świętokradztwem, bo... z nadludzkiem jestestwem mieli do czynienia. Wówczas król ich z miłości czy też gniewu... zawołał: „Wanda niech morzu, ziemi i powietrzu rozkazuje, bogom nieśmiertelnym Wanda niechaj za swoich składa ofiary, a ja za was, o wodzowie, uroczystą podziemiom hostyę ślubuję, abyście i wy i wasi potomkowie zestarzeli się pod rządami niewiasty...“ Poczem się przebija.

Ten moment opowiadania oddał Wyspiański bardzo dokładnie w tekscie, lecz... zmienił jednym wierszem cały kształt legendy. Wanda złożywszy ofiarę Żywi dla uratowania wolności i swoich, mocna teraz tą myślą, która się potem rozszerzy, staje w obec wroga i woła wyroczne słowa: „Śmierć za mną, Sława za mną kroczy“. W ten sposób Wandy już na inny grunt przenosić nie można, uogólniać jej nie można do chmury czy do innego kształtu. Wanda teraz stąd jest i tu istnieje. Legenda otrzymała nową, dzisiejszą podstawę, szeroką. (Sławę niektórzy mitologowie uważają za słońce, a raczej za żar, to, co grzeje, światło daje i życie. Może to razem oznacza ziemię całą, której się Wanda oddaje całkowicie. Logika zdarzeń jest inna.

Po owych słowach Wandy dzieje się rzecz niezwykła z wrogami, którzy wdzierają się do izby zatarasowanej broną. „Jakby im kto w ślepie lunął — żarem i jasnością piorunową, — przypadli do ziemi głową — i witeź Rytgier przygiął się sam, — wściekły z gniewu, —“ Lecz nie zabija się i dmie w róg do odwrotu. Szczegół to ważny. W ten bowiem sposób sprawa nie skończona; (samobójstwo to ma być zresztą zmyślone przez późniejszego kronikarza), najezdcę trzeba pokonać, dzieło ledwo zaczęte. I w ten sposób bliższe to późniejszego kształtu legendy. Od Długosza bowiem, który zmienił kilka szczegółów (powiada, że smoka zgładził Krak, brat zaś zabił brata na polowaniu) legenda nowe przeszła koleje i teraz już Wanda ginie w sposób raczej obywatelski. Przez tę dobrowolną śmierć bowiem odejmuje napastnikowi możność pożądania jej ręki i panowania nad jej ludem. Legenda już staje się w ten sposób racyonalnym suchym faktem. Daleko już do bogów, do przyrody, do całej atmosfery tajemniczej i czarującej minionych i zamierzchłych czasów. „Odjąć możność“, to zbyt nieokrzesane i obrachowane. Dla tych zamierzchłych czasów taki wyłącznie polityczny postępek chyba jest zbyt ciasny, iżby mógł stać się przedmiotem poezyi i legendy, a więc nienaturalny. I dziś jest tembardziej nienaturalny, nie płynie z ducha. Śmierć tam jest aktem rozpaczliwym, wymuszonym, utylitarnym. U Wyspiańskiego szereguje się to naturalniej. Wanda idzie na śmierć dla sławy, bezinteresownie, dla dzieła: z przemożnego rozkazu duszy i dla duszy. Nie wyłącznie dla ocalenia tego ludku, (wszak wróg odparty i ludek ocalony) który jej myśli nie rozumie i ma ją za oczarowaną. W ludziach Wyspiańskiego myśl jest rzeczą rozległą, że zdaje się, jakoby się z granicami ziemi i śmiercią schodziła, skąd niemasz powrotu. Myśl się ta w nich budzi nagle, niespodzianie, że idą na śmierć nie bacząc na rezultaty, osiągnięte, których duch nie widzi. Każde niemal u Wyspiańskiego pojęcie, najbardziej szczegółowe, rozszerza się nagle i kształtuje człowieka, staje się mocą przyrody, jakoby bóstwem; tak teren staje się całą ziemią. Wanda Kadłubkowa ocala lud i panuje spokojnie, późniejsze podania usunęły ten rys jako nieprawdziwy, lecz śmierć jej inaczej uzasadniały.

Obecnie postępek Wandy jest nietylko ocaleniem ludu, lecz i zbawieniem jego duszy. Wanda nie może słynąć tem, że umiała zginąć, lecz może, że umiała coś stworzyć. Gotowa więc poświęcić swoje życie, ponieważ ma za co, za sławę, za ducha. Nie dla zyskani asławy u ludzi. „Wam co ze Sławy, wam co z Dumy? — Porzućcie palenisko. – Piękniejsze wasze kurne chaty, – niż zamku pyszne dwory... Myśl rysuje się jasno. Sława zaś, to wszystko, to duch, to owo nieprzewidziane zdarzenie, które czarem działa i wynurzy się z wód Wawelem. Legendowe „za swoich“ rozszerzyło się i stało się Sławą. Między Wawelem tedy a śmiercią Wandy istnieje związek ścisły i głęboki. Obecny Wawel, to jej dzieło, dzieło jej śmierci.

Znany jest moment śmierci dobrowolnej Achillesa. Wedle legendy homerowej jest ten wypadek spełnieniem wyroczni, dobrze znanej samemu Achillesowi. Lecz ta wyrocznia u Wyspiańskiego rozszerza się, staje się duszą, Sławą. Achilles jego idzie na śmierć samodzielną za wołaniem ducha, że w końcu istotnie nie wiedzieć, czy to człowiek, czy też i bóstwo solarne, jak chcą uczeni. Wanda, zaprzysiągłszy się Żywi, wie dobrze, że zginąć musi, lecz nie to będzie powodem jej śmierci. Wyraża to słowami legendy, jakby patrzyła na sprawy już oddawna spełnione, które teraz raz jeszcze spełnić się mają. Przepowiada swój koniec: „Z promu skoczę od włazu — na ony skalny głąb“. W tym przez legendę przekazanym kształcie, ten koniec jest magiczną potęgą, jak owa wyrocznia, która ciągnie. Wanda, jak Achilles, poznaje swoje przeznaczenie i za spełnienie go czuje na sobie odpowiedzialność. W ten sposób myśl rozszerzyła się, wybiegła poza obecne zdarzenia, poszła za tchnieniem Sławy; Wanda, swoją istotą wieczystą,która może w ziemi tkwi i w rzece, wybiegła poza zdarzenia. Ująwszy tak wyraźnie swoją myśl, która nazajutrz wyłoni się na słońcu i jej śmiercią będzie, Wanda nie może chcieć bezpłodnej śmierci na stosie. Już raczej schronić się do wód. „A i to śmierć! Śmierć wszędy!“ Zabić ją mają a ona ma zginąć dla Sławy. Zdarzenia, które od nikogo nie zależą, chyba od tego, że i Krak jest królem tej ziemi, ale razem istotą wieczystą, fatalnie ją pchają ku spełnieniu wyrocznego czynu. Wiślanie porywają Kraka zwłoki, o spaleniu na stosie niema już mowy. Wanda nie zdaje sobie sprawy z tego, co czyni w pospiechu, lecz czuje, że uratowana jest dla... Śmierci. Odtąd śmiercią się znaczy każdy jejk rok.

Działa pod naporem myśli, tego słowa, przed którem uciekli wrogowie, a które osiadło w niej na zawsze. Teraz budzi się i razem z niem spokój, siła i pewność zwycięstwa. Nazajutrz w słońcu, po pokonaniu wroga, stanie na promie i skoczy, pobiegnie ku swej Sławie. Cały sposób zachowania się, pospiech w przywdziewaniu zbroi, baczność przytem na każdy szczegół, mówi, że to istota na poły z śmiercią i z ziemią w uścisku splątana. Legenda i tu dostarczyła motywu — Wanda otrzymała na skutek ślubu wianek, oznakę przynależności do śmierci. Wszystkie obrzędy tego ślubu, który łączy się z śmiercią Kraka i pogrzebem, a który tą śmiercią jest właściwie wywołany, odbywają się legendarnie. Bieg zdarzeń powiązany jest z kultem Żywi. Myśl Wandy jest jasna, łączy się z całą przyrodą. Legendowo myśl ta uwydatnia się ślubowaniem bogini Żywi. Topielce i Topielice, cały ten naród Wiślan, zbierze się i napiętnuje Wandę znamieniem śmierci nieodwołalnej, znamieniem ducha. Taki akt ślubowania można tłumaczyć rozmaicie, myśl bowiem szeroka związana jest z przyrodą całą, z niej początek bierze i do niej wraca. Każdy wypadek, choćby niepozorny, rozszerza się u Wyspiańskiego tem, że wynika z terenu, na którym

rzeczy się dzieją. Bohaterowie Wyspiańskiego, z późniejszych czasów, mimo na pozór przez historyę ustalone motywy i cele działania, zawsze idą pod wpływem rozległego, nieznanego czynnika, ktory nieprzewidzianem zdarzeniem sprowadza śmierć. Śmierć tę widzą, lecz w nią idą dobrowolnie, a wypadki, które układają się w ten sposób na śmierć ich wiodą. W ten sposób nieulegają jeno okolicznościom lecz Sławie. Zbieg zdarzeń fatalny nie sam sprowadza ich śmierć, lecz zbieg zdarzeń uzasadniony ich duszą. Przeciw tej myśli nic się nie ostoi, wybuchnie sama, gdy chwila nadejdzie.

Końcowe słowa chóru z Legendy:

„Miecz ponad głową dźwiga!
Śmierć, śmierć ją ściga!!!“

przywodzi na myśl nieodparcie słowa Maryi z „Warszawianki“. Chłopicki ujęty nieznaną mocą godzi się na dowodzenie wojskiem, wychodzą wszyscy i pędzą przez śnieżycę, przez którą słońce prześwieca. Marya mówi:

„Widzisz, za nimi, nad nimi kto — —!

Podobieństwo dalekie, lecz motywy działań ludzi są te same. (W tem styl Wyspiańskiego). Związane są najściślej z przyrodą, z otoczeniem swojem własnem.

Jak zaznaczono poprzednio, Wyspiański nie wdaje się w rozwiązywanie zagadnienia mitologicznego. Rozbiór nauki doprowadził do zniszczenia legendy, a to ostatecznie nic nie wyjaśnia. W „Legendzie“rzeczy osłonione są taką tajemnicą, że granicy nie można przeprowadzić między mitologią a rzeczywistością. Lecz mitologia jest wszędzie zbiorem symbolicznych obrzędów na cześć przyrody. Ludzie zaś, którzy biorą w tem udział, tak silnie podlegają działaniom ziemi, że te obrzędy nie są jedynie symboliczne dla nich, ale im jawią się jako obecne i żywe. Powoli i nieznacznie istota ich rozszerza się, jakby wchodzili w role kultem tym wyznaczone. Co symbolicznie odbywa się, jest i rzeczywiste. Krak i Wanda, to istoty człowiecze nadewszystko, lecz urastają do wieczystych kształtów tej ziemi. Są to jednostki, lecz o uczuciach tak szerokich, że wymykają się ku rzeczy powszechnej, są sobą i są całą przyrodą. Śmiercią jak widać są znaczone. Zdarzenie szczegółowe rozszerza się i łączy z wszystkiem, co ta legenda stworzyła. Wedle konstrukcyi Wyspiańskiego — nauka bowiem w tym względzie do nijakich nie doszła wyników — Żywa jest oznaką budzącej się wiosny, wiosennej mocy i wybujania. (Mitografowie ogólnikowo mówią, że jestto bóstwo, istota nadprzyrodzona, która stworzyła wody, krynicę żywota... Więc je odrywają od gruntu, od rzeczy, czynią zeń bóstwo bezosobiste). Gdy zaś później wiosna przeminie, owoc bujnie się rozrośnie na słońcu, Żywa zamienia się na Ładę, krasną i szczęśliwą. W jesieni Łada jest Martwicą. Odbywa się też na wiosnę symboliczny obrzęd topienia zimowej Martwicy (obrzęd szczegółowo opisany u Długosza i Bielskiego. Bielski, który czerpie z Długosza, opisuje obrzęd dość szczegółowo. Mówi o bałwanie, o snopie konopi albo słomy ubranym w odzienie człowiecze, który wszystka wieś prowadziła, gdzie najbliżej było jakie jeziorko lub kałuża, tamże zebrawszy z niego odzienie wrzucali do wody, śpiewając żartobliwie: „Śmierć się wije po płotu, szukający kłopotu“ i t. d. Potem, co najprędzej do domu od tego miejsca bieżeli, który albo która się wtenczas powaliła albo powalił, wróżbę tę mieli, iż tego roku umrze. Zwali tego bałwana Marzana...“ Kronika. wyd. Turowskiego 1856 str. 70.). — W konstrukcyi Wyspiańskiego jestto jedno bóstwo, jedna ciągle przyroda; w „Legendzie“ topienie Martwicy jest i symboliczne i jakby rzeczywiste, że to zwłoki Kraka.

W dramacie ta tragedya mitologiczna, a więc ta tragedya przyrody biegnie równo z tragedyą Wandy i Kraka, lecz się z nią ściśle łączy, rozdziału niema między bóstwami a ludźmi; Krak, Martwica, Wanda, Żywa, Łada: powikłanie jest tajemnicze, głębokie i rzecby można, logicznie niedorzeczne, jak poezya ludu. Ta poezya ludu, w tym wypadku wiemy, kto nią jest, poeta, wydaje się terenem, na którym rozgrywają się rzeczy dziwne, wyrastają zeń i żyją. W tej poezyi twory, te wodne Rusały, Rusałki, wilkołaki, wodniki mogą mieć znaczenie przeróżne, gdy w odosobnieniu rozważane będą, lecz w związku z istotami ludzkiemi i razem wieczystemi, mają przeznaczenie jedyne: jak tamte wchodzą w rolę kultu i jego istot, tak te wchodzą w rolę istot człowieczych i tragiczne powikłania wywołują. Jako piarwiastki stylu służą do uwydatnienia atmosfery legendowej zdarzeń, lecz przytem są całemi istotami, samodzielnemi.

Widzieliśmy, jak nauka zbytnio naturę uogólniając, zniszczyła legendę. Istotnie zdarzenia ku temu wiodą, są szerokie, że można je rozmaicie tłumaczyć. Nie inaczej stało się z Homerem, którego Iliadę np. Müller uważał za rozprowadzenie mitu słonecznego. Achilles był w tej analizie bóstwem słonecznem. Lecz w przyszłości nauka może u nas inne znajdzie zagadnienie. Wiadomo, że Homerowy świat jest dla nauki zagadką, nie wiedzieć, czy te postacie istniały czy nie istniały, tak są żywe i rozległe, że mogą być i mityczne.

Przyjęto, że Homer wcale nie istniał, a tworzył pieśni lud. W przyszłości nauka, która podejmie badania nad temi istotami „Legendy“ w temsamem będzie położeniu, co w obec Homera. Wniosek z obecnego faktu jest również prawdopodobny jak z faktu minionego. Homer musiał być poetą żywym i rzeczywistym, który podania ludowe umiał natchnąć jednolitym duchem. Był więc poetą późniejszych czasów, w których podania owe były zebrane, lecz nie na tyle, żeby nie trzeba już własnych konstrukcyj. Musiał więc zrozumieć naturę podań ludowych, stać się ludem. Podobnie jak jego postacie szerokie są i związane z mitycznemi, tak i on musiał się rozszerzyć, musiał pierwiastki mitologiczne tak zespolić z rzeczywistymi, że granic nie znać już było. Homer był Grekiem; więc i ludzie jego są Grekami. Motywy ich działań greckie, a mityczne podania najlepiej te motywy wyjaśniają. Tylko niema jeszcze owego zespolenia z przyrodą.

Na swoim własnym gruncie Wyspiański podobne dzieło stworzył, lecz u niego muzyka i krajobraz weszły w miejsce szerokich opisów. Dzieło jest zwięzłe, nagłe, niespodziewane, jak naiwne twory, które wyrastają skądś, skąd niewiadomo.

Legenda łączy się zawsze z mitem — to rzeczy różne. Powiązanie ich stanowi poezyę Wyspiańskiego i stanowi trudność dla uczonych. Mitowi poświęcają legendę, legendzie poświęcają mit. Tymczasem jedno drugiemu nie przeszkadza. Śmierć Kraka i pogrzeb w poezyi ludowej Wyspiańskiego rośnie i zamienia się w symboliczny obrzęd topienia Martwicy na wiosnę oraz w symboliczny obrzęd zaślubin Wandy, który odpowiada tej okoliczności, że Wanda odkryła w sobie myśl wielką i dla Sławy zginąć postanowiła. Wszystkie te obrzędy rozłożone w rzeczywistości na długi czas, jednej się chwili nocnej stają i kończą na dniu, gdy słońce świeci. Legenda przechodzi w mit, jak ludzie, Krak i Wanda, wieki całe żyją tej jednej nocy i fatalnie zdążają ku nieśmiertelności. Krak budzi się. Leży na śmiertelnem posłaniu, więc wspomina dawne czasy i to wspominanie dramatycznie przedstawił poeta

jako rozmowę Kraka z trzema kumoskami (Parki), które złotą nić jego życia snują. Krak mówi: „Daj mi do ręki nić, — niech się przez dłoń mą snuje, — niech pod palcami czuję — dolę moją człowieka, — jak płynie, jako rzeka — wieczysta...“ Tak zwolna Krak staje się istotą wieczystą. Czar wód może teraz działać. Był królem, całym ludem, jest i ziemią, oraz istotą mityczną.

Dramat jest w którąkolwiek spojrzeć stronę. Wszystkie tu ostają się tłumaczenia, lecz ani jedno niewyczerpie rzeczy całkiem. *St. Lack.*

Dok. nast.

OD REDAKCYI.

Przypominamy koniec kwartału tym, którzy nie uiścili dotąd prenumeraty i prosimy o rychłe odnowienie jej na przyszły kwartał.

Zjednywanie nowych prenumeratorów i nadsełanie adresów dla rozsyłki numerów okazowych - są konieczne, aby utrwalić byt naszego pisma i usunąć coraz cięższe do zwalczania deficyty. Przypominamy to bardzo gorąco przyjaciołom „Nowego Słowa“ i sprawy o którą walczymy.

Redakcya.

OD REDAKCYI.

Podczas wakacyi, z powodu rozproszenia się stałych współpracowników — „Nowe Słowo“ wychodzić będzie raz na miesiąc 15-go w podwójnej objętości.

TREŚĆ:

GUSTAW PORĘBSKI

po krótkich cierpieniach zmarł dnia 31 maja b. r. Miał lat 24, i dzieło ledwo rozpoczął. „Nowe Słowo“ w styczniu b. r. ogłosiło parę jego utworów, w których już zaznacza się dążność wyraźna. Lecz ta dążność, niestety, nie miała swego kresu osiągnąć. Są to utwory liryczne, atoli daleko sięgają poza osobiste uczucia, które liryce zakreślają powszechnie. Z upływem lat talent byłby się rozwinął, opanował swój przedmiot, i poszedł własną drogą, która wiedzie do dramatycznego tworzenia. Gustaw Porębski miał bowiem spojrzenie ciemnych oczu głębokie i z miłością na rzeczy patrzył poważnie. Przyjaźń wybiegała myślą ku dziełu całemu, a teraz z żalem przebiera w pozostałych kartach, tych świadectwach jego życia, i zabiegi czyni, żeby to życie, tak wcześnie zgasłe, utrwalić.

SPROSTOWANIA.

Str.	70	wiersz	30	ma być:	owych poetów	Str.	72	wier.	21	ma być:	tę epopeję
„	71	„	19	„ „	pratekstem	„	72	„	28	„ „	zależały

„ 91 w przypisku dodać: Podobno w fragmentach „Achilleidy“ Sofoklesa można się dopatrzeć układu takiego, że tylko synowie Laokoonta zginęli, on zaś sam przy życiu został. Lecz się na to nie godzą uczeni. Roscher: Handwörterb. der röm. u. griech. Mythologie. Pod Achilles.

str.	92	wier.	35	ma być:	Doryjczycy	Str.	142	wier.	33	ma być:	Her
„	93	„	15	„ „	jedno	„	142	„	46	„ „	dostrzegł
„	93	„	18	„ „	opowiedziane	„	143	„	9	„ „	jak powiadają
„	93	„	44	„ „	ludzkość	„	143	„	43	„ „	spełniam zbro-
„	94	„	12	„ „	tę						[dnie
„	94	„	27	„ „	duszę	„	163	„	9	„ „	na woli
„	94	„	39	„ „	duszę	„	163	„	39	„ „	omamiły
„	117	„	32	„ „	rozumieli	„	163	„	40	„ „	niezwykła
„	117	„	47	„ „	dziewięć	„	165	„	3	„ „	pochodu
„	118	„	11	„ „	Medeę	„	166	„	12	„ „	narost
„	137	„	46	„ „	ophiolatrów	„	166	„	44	„ „	pewne, okre-
„	139	„	18	„ „	sprawy						[ślone
„	139	„	19	„ „	obaczywszy	„	167	„	39	„ „	Hery
„	139	„	47	„ „	zdarzeń	„	168	„	15	„ „	tęsamą
„	140	„	28	„ „	Rezultaty są	„	288	„	4	„ „	czerwcowej
					[więc	„	288	„	5	„ „	roztrząsania
„	141	„	23	„ „	w oznaczeniu	„	288	„	7	„ „	w roku 1901
„	142	„	20	„ „	Pallas, więc	„	283	„	9	„ „	przed trumną.

Drukarnia Wł. Teodorczuka i Sp. w Krakowie ul. Zielona l. 7.